

## UCIECZKA MIŁOSZA

### CZEŚĆ 1

- Sytuacja jest napięta, jak baranie jajo, towarzyszu... – powiedział do Jerzego Putramenta Berman, druga, po Bierucie, osoba w państwie. Pisarz stał niemal na baczność przed dębowym biurkiem członka Biura Politycznego, który po kilku minutach przetrzymania go w tej pozycji pozwolił mu usiąść.

- Domyślam się, że... – odezwał się lękliwie Putrament będący już tylko formalnie ambasadorem w Paryżu.

- Słusznie się domyślacie. Odwołujemy was. Rozbrykaliście się zanadto za ludowe pieniądze. Przekroczyliście granice norm obyczajowych, których powinien przestrzegać przedstawiciel państwa chłopów i robotników. Szczególnie na Zachodzie. Nie będę sobie strzępił języka, wszystko jest w raportach – wskazał na pękatą kartonową teczkę. Choć się na was zawiodłem, to na wasze szczęście ta kwestia jest mniej ważna w obliczu zaostrej sytuacji międzynarodowej. Liczymy się z możliwością wojny.

- Wiem, że punktem zapalnym jest Korea – powiedział lękliwie.

- Na waszym poziomie lepiej jest za dużo nie wiedzieć – Jakub Berman był nieprzyjemny. – Powiem wprost, po zakończeniu plenum partii wracajcie do Paryża... – zawiesił na chwilę głos.

- Dziękuję bardzo – Putrament ucieszył się. Pomyślał, że Berman może tylko postraszył go odwołaniem. Był zadowolony na myśl o powrocie do Francji, bowiem od czasu, gdy został ściągnięty do kraju ponad miesiąc temu, jego sytuacja wciąż była niejasna.

- ...Załatwcie szybko w Paryżu, co macie do załatwienia, a resztę spraw placówki przekażcie Ogrodzińskiemu – dokończył zdanie Berman. – Żyliście tam wystarczająco długo w luksusach, teraz trzeba powalczyć na pierwszej linii frontu.

- Ale chyba nie macie do mnie zastrzeżeń... politycznych? – Putrament pobladł, usta wykrzywiły mu się w lęklwym grymasie. Jego parosekundowe marzenie o powrocie na placówkę paryską legło w gruzach.

- Czekają nas ciężkie czasy, trudniejsze niż dotychczas. Plan sześcioletni może rozsypać się jak domek z kart, jeśli nie zewrzemy szeregów na wszystkich frontach. Zbliżające się plenum partii musi spełnić taktyczne zadanie, czyli przygotować społeczeństwo do zwiększonego wysiłku bez wzbudzania paniki, bo wojna będzie nieuchronna.

Putrament pogodził się z degradacją. Obawiał się tylko najgorszego; żeby nie został odsunięty na margines. Na tę myśl rozboleła go głowa. Jednocześnie, na zasadzie kontrastu, zaświtała mu cichutka nadzieja, że może jednak zostanie wysłany na placówkę gdzieś na Daleki Wschód. Pomimo swoich słabostek erotycznych wiedział, że przełożeni generalnie oceniali go dobrze, a przede wszystkim widzieli w nim człowieka bezgranicznie oddanego partii, poza tym wszyscy wiedzieli, że jest dobrze notowany w Moskwie.

- Zostaniecie skierowani do nowych ważnych zadań.

- Dziękuję wam, towarzyszu – ucieszył się pisarz. W końcu łączyła ich bliska znajomość z czasów wojny, gdy przebywali w Związku Radzieckim i wspólnie działali pisząc m.in. raporty do NKWD na nieprawomyślnych polskich komunistów.

- Wy, literaci, inżynierowie ludzkich dusz, jak mówi Stalin, jesteście ważniejsi od czołgów. W maju odbędzie się walny zjazd delegatów Związku Literatów Polskich – rzekł znużonym głosem Jakub Berman.

- Jeśli mogę, towarzyszu, bo czegoś nie rozumiem, przecież rok temu odbył się zjazd w Szczecinie...

- Nie słuchacie tego, co mówię – zirytował się Berman. – Przecież przed chwilą powiedziałem, że sytuacja międzynarodowa jest poważna.

- Rozumiem – rzekł się skrzeczącym głosem.

- Na tym zjeździe zostaniecie wybrani na sekretarza generalnego ZLP i z ramienia partii musicie zdyscyplinować ludzi pióra do wytężonego wysiłku, aby z kolei oni wpłynęli na naród mobilizująco w celu realizacji postawionych przez partię zadań.

- Kruczkowski pozostaje? – zapytał niepewnie.

- On będzie wybrany ponownie na przewodniczącego, bo to człowiek z autorytetem łączący stare dobre tradycje komunistyczne i mądre spojrzenie na przyszłość, a przede wszystkim pewny ideowo. Tylko brak mu trochę energii. Dlatego wespręcie go na odcinku partyjnym i organizacyjnym.

- Tak jest – zgodził się z trudem. – Na szczecińskim zjeździe nie pomyślano o funkcji sekretarza generalnego, jak to jest w Związku Pisarzy Radzieckich. – Po krótkim wahaniu przekonał siebie, że sekretarzowanie w ZLP może być nawet lepsze, niż ambasadorowanie, ponieważ w państwach demokracji ludowej to właśnie sekretarz na każdym szczeblu organizacyjnym sprawował realną władzę.

- Wiem, że sprostacie postawionym zadaniom. Na placówkach zagranicznych daliście sobie radę... politycznie – podkreślił to słowo – to tym bardziej dacie sobie radę w kraju.

- Tylko rozumiecie, towarzyszu – poczuł się trochę pewniej – wśród pisarzy i poetów sporo jest, mówiąc delikatnie, zdystansowanych do władzy.

- Znam środowisko literackie, dlatego na was stawiam. Okres poluzowania mija, łowicie ryby, to wiecie; teraz nastaje czas zaciągnięcia linki, żeby zdobycz nie wymknęła się z haczyka.

- Co z rybkami trochę swobodniej pływającymi?

- A no właśnie. Wracam na kanał pierwszy. Przed wyjazdem do Paryża przyjrzyjcie się dokładnie wszystkim, z wyjątkiem pracowników wywiadu i kontrwywiadu; ich zostawcie w spokoju – rzekł arbitralnie Berman.

- Tak jest. Na niepewnych zarzucić wędkę i pociągnąć do kraju?

- Czytacie w moich myślach. Przebywające w zachodnich poselstwach niepewne rybki mogą narobić więcej szkody, niż tutaj. A w kraju zaprzęgniecie ich do roboty, żeby aż furczało i żeby nie robili prywatnej defetystycznej propagandy, a nie daj Boże, dywersyjnej roboty przeciw ustrojowi i naszym sojusznikom.

- Oczywiście – rzekł przymilnym głosem.

- Kolejny punkt: musimy oszczędzać. Każdy niepotrzebnie wydany przez nas dolar za granicą oznacza mniejsze pieniądze dla wywiadu i na zakupy na zbrojenia z wsadem dewizowym, co jest szczególnie istotne w obecnej konfrontacji z zachodnim imperializmem.

- Najszybsze korzyści przynoszą cięcia wydatków osobowych.

- A zatem do roboty – Berman podał mu na pożegnanie dłoń. – Pojutrze muszę dać MSZ-towi rekomendacje dotyczące spraw personalnych. Macie wolną rękę co do propozycji, na które czekam do jutra.

- Mam już na myśli parę osób, ale teraz przyszła mi do głowy jedna zbyt niezależnie pływająca rybka.

- Kto?

- Miłosz – odpowiedział z sardonycznym uśmiechem.

- To wasz kolega.

- Były kolega, towarzyszu Jakubie.  
- Znacie raporty służb na jego temat?  
- Nie wszystkie. Nawet ambasador nie ma wglądu do tajnych raportów spec-  
znaczenia.

- Zadzwoń do Skrzyszewskiego, żeby je wam udostępnił.

Stanisław Skrzyszewski, wiceminister MSZ, kierował resortem pod nieobecność ministra Zygmunta Modzelewskiego, który przeszedł zawał serca i przebywał w domu na rekonwalescencji, nie mając wpływu na sprawy ministerstwa.

Putrament, opuściwszy gabinet Bermana, zdał sobie sprawę, że zakończył swoje komfortowe życie dyplomaty. Jadąc do MSZ-tu w alei Szucha myślał z goryczą o rozstaniu się z eleganckimi rautami, bankietami, z ulubionym brydżem, nocnymi boite'ami i kabaretami, premierami teatralnymi i filmowymi. I z etykietą, która – prawdę mówiąc – zawsze go uwierała. No i z bieżącym używaniem języka francuskiego, którego nauczył się z takim trudem... Choć rozmawiając w nim miał świadomość, że go kaleczy, ale wiedział też, że był rozumiany i sam dość dobrze go rozumiał. Oczywiście czuł żal z powodu decyzji Bermana, lecz ufał, że partia wie, co robi wysyłając go tam, gdzie jest bardziej potrzebny. Będąc jej wiernym sługą potrafił ów żal w sobie przerobić i zmusić się do poświęcenia. W końcu miał głęboko wryte w pamięci surowe, choć nie biedne, dzieciństwo, niełatwe życie studenckie i trudny okres wojenny. Pamiętał też, że swój los związał na dobre i złe z nowym ustrojem, który konsekwentnie umacniał w nierozzerwalnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim ufając mu bezgranicznie.

W pomieszczeniu tajnych dokumentów w gmachu ministerstwa Putrament czytał raporty i donosy na temat pracowników w zachodnich ambasadach. Najbardziej interesowały go poświęcone Miłoszowi papiery, wśród których znajdowały się kopie jego prywatnych listów sporządzone przez pracowników UB oddelegowanych do perlustracji korespondencji w urzędach pocztowych. To właśnie listy ujawniały jego prawdziwe poglądy; był człowiekiem obcym ideologicznie, krytykował nowy ustrój i panujące w nim stosunki. Lektura ta potwierdzała jego wcześniej wyrobione poglądy. Putrament nie miał wątpliwości; nadszedł czas sprawiedliwej zemsty na Miłoszu, który od studenckich czasów udowadniał mu swoją wyższość i lepszość, jednocześnie chwając się genialnością, oczywiście nigdy wprost, lecz stosując sofistyczne wywody intelektualne. „Zobaczmy teraz, kto jest lepszy, drogi Czesiu – pomyślał ironicznie Putrament zamykając szarą kartonową teczkę z dokumentacją – zobaczmy, kto jest sprytniejszy, bo na tym polu nie masz ze mną żadnych szans. Wpadniesz w moje wnyki, nie przechytysz doświadczonego myśliwego” – zakończył rozmyślenia z uśmiechem satysfakcji.

17 lutego 1950 roku Putrament uczestniczył w posiedzeniu plenum Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, podczas którego został doceniony przez kolegów literatów i innych znajomych towarzyszy za to, że był bardziej od nich wtajemniczony w arkana polityki, ponieważ to, co im wcześniej mówił nieoficjalnie o sprawach politycznych i ekonomicznych, zostało potwierdzone z trybuny przez Jakuba Bermana i Hilarego Minca, wicepremiera odpowiedzialnego za gospodarkę. Putrament czuł się usatysfakcjonowany. Trzy miesiące później w dniach od 24 do 27 maja odbył się IV zjazd delegatów Związku Literatów Polskich, podczas którego został wybrany na stanowisko Sekretarza Generalnego zgodnie z tym, co powiedział mu Berman.

Po otrzymaniu mieszkania na Mokotowie żona Putramenta, Zofia Bystrzycka, była korespondentka wojenna, zajmowała się jego urzędami oraz opieką nad ich półtorarocznym synem, Kostkiem, zaś on mógł z satysfakcją zasiąść przy swoim nowym biurku. Pragnął wreszcie ruszyć z kopyta z przerwana powieścią o kampanii wrześniowej. Od pięciu miesięcy, gdy wrócił z Francji, nie napisał ani jednej linijki książki z wyjątkiem kilku

artykułów. Teraz dorwał się do pisania zaczerniając atramentem kilkanaście kartek dziennie, co składało się na sześć do siedmiu stron maszynopisu. Wyrabiał swoją normę, niczym akordowy robotnik, czy mu szło dobrze, czy kiepsko. Miał wewnętrzny przymus pisania, któremu poświęcał tylko cztery godziny dziennie. O natchnieniu nie myślał, choć czasem wpadał w dziwne uniesienie, jednak było ono dalekie od weny twórczej. Swoim chropowatym stylem naśladował frazę Kadena-Bandrowskiego, lecz porównanie jego prozy z prozą Kadena mogłoby zostać potraktowane przez znawców literatury, jako profanacja twórczości przedwojennego pisarza. Jerzemu Putramentowi obce były subtelności stylistyki, skrzące się wieloznacznosciami aluzje, czy lekkie zdania zdobne w zaskakujące pointy. Zresztą sam przyznawał, że nie znosił „tych wszystkich stylistycznych precjozów”. Ktoś dobrze znający jego twórczość powiedział Miłoszowi, gdy ten był w Warszawie, że Putrament „będzie miał w tym swoim wytwornym apartamencie pięć biurków i na każdym zaczęta powieść i co dzień będzie wył z rozpacz, bo wie, że to, co pisze, to jest drewno”.

Jerzy Putrament po wyborze na sekretarza generalnego związku pisarzy stał się władcą absolutnym literatów i głównym zarządcą literatury. Jego największą bronią „do walki z zarazą biurokracji” – jak mówił (a raczej do walki z zarazą niezależności) – był czterocyfrowy telefon rządowy z książeczki numerów, która była jego najtajniejszym dokumentem trzymanym pod kluczem. Gdy była taka potrzeba, czy tylko władca zachcianka, wykręcał numer do decydenta w KC lub ministra, bez pośrednictwa sekretarki, i załatwiał od ręki przydział mieszkania, talon na samochód, szybką ścieżkę druku, brakujący w wydawnictwie papier, miejsce w rządowej klinice, przyjęcie na studia, stypendium zagraniczne, podróż służbową, tanią wycieczkę na Wschód, czy dewizy na prywatny wyjazd na Zachód.

- Muszę wrócić do Paryża – powiedział żonie przy kolacji.

- Przecież odwołali cię stamtąd – powiedziała Zofia Bystrzycka używając delikatnego słowa, zamiast „usunęli” lub „wyrzucili”, aby nie pogarszać już i tak napiętych stosunków z mężem. – Niczego nie rozumiem...

- Tylko na chwilę. Załatwię parę spraw i wracam – starał się ją uspokoić.

- Konkretnie na jak długo? – Dociekała. – Nie chcę zostać sama z małym dzieckiem.

- Obiecuję szybko wrócić.

- O co chodzi z tym Paryżem? – niepokoili się.

- Wiesz przecież, że oficjalnie wciąż jestem ambasadorem. Jadę tam sfinalizować rzeczy, których nie dokończyłem. Muszę coś tam jeszcze załatwić. Berman mnie prosił. Widzisz, że sytuacja na świecie się zaostrzyła. Zresztą nie zrozumiesz tego – powiedział lekceważąco.

- Możesz mi powiedzieć prawdę? Odnoszę wrażenie, że coś kręcisz.

- Przestań gadać takie rzeczy, wypraszam sobie – podniósł głos.

- Znowu na mnie krzyczysz, to ja wypraszam sobie – nie pozostała mu dłużna. Łzy napłynęły jej do oczu.

Zapadła cisza, podczas której Putrament trochę się uspokoił.

- No już dobrze, dobrze... – próbował powstrzymać narastające napięcie.

- Powiesz mi? Chyba możesz mi zaufać. – złagodziła ton.

- Wśród wielu spraw chodzi o poetę – rzekł spokojnie.

- Chyba nie masz zamiaru skrzywdzić Miłosa? – domyśliła się. Bystrzycka ceniła jego poezję.

- Zosiu, wiem, że masz do niego feblik – stał się nagle uprzejmy. – Tu idzie o poważne rzeczy. Z poufnych dokumentów wynika, że ma on wrogi stosunek do ustroju, a jego Janka wręcz żywi nienawiść do Związku Radzieckiego. Mogą uciec. A ściślej mówiąc, tam pozostać.

- Przecież znasz go dobrze z czasów wileńskich, Czesław zawsze był człowiekiem gardzącym materialnymi zbytkami kapitalizmu.
- Bardziej jednak gardzi komunizmem.

Był upalny czerwiec. Putramentowi żal było Mazur, dokąd planował się wybrać. Ulubione wędkowanie musiał odłożyć na później. Teraz rozmyślał nad sprawą Miłosza. Układał sobie plan, jak ściągnąć go do kraju bez wzbudzenia podejrzeń. Zwabienie go teraz, na przykład pod pretekstem konsultacji, byłoby złym rozwiązaniem, bo mógłby się zorientować, że to podstęp i zostałby na stałe za oceanem. Jest zbyt inteligentnym wróblem, żeby nabrać się na takie plewy. Putramentowi coś się rysowało w głowie... „Wiem! – wykrzyknął triumfalnie odkładając na stolik ulubione *Wiadomości Wędkarskie*. – Zmienimy mu placówkę. Pozornie. Sam mówił mi w czterdziestym piątym, że wolałby Francję od Ameryki. No to będzie miał tę swoją ukochaną Francję. Trzeba mu złożyć propozycję objęcia funkcji sekretarza do spraw kulturalnych. Potem będzie musiał przyjechać do ministerstwa po oficjalną nominację, wówczas potrzask pułapki się zaciśnie. Zostanie w ojczyźnie na zawsze, biedaczek. Tylko trzeba skoordynować działania, MSZ da mu sygnał oficjalnie, a ja prywatnie zanęcę go listownie”.

Mając wstępnie przygotowany plan Putrament spotkał się z wiceministrem MSZ Stanisławem Skrzyszewskim, który wcześniej został powiadomiony o propozycji Putramenta przez Bermana. Skrzyszewski zaakceptował projekt, a właściwie musiał zaakceptować, ponieważ prośba wydana z KC była równoznaczna z rozkazem. Kilka dni później Putrament otrzymał informację, że ministerstwo, przez waszyngtońską ambasadę, przesłało Miłoszowi sygnał dotyczący nowej propozycji pracy w Paryżu. Putrament poleciał do Francji. Gra się rozpoczęła. Będąc doświadczonym graczem wiedział, że tryby biurokratycznej maszyny będą konsekwentnie się kręciły, do skutku. Do układanki brakowało jeszcze jednego elementu, prywatnego listu.

W ambasadzie polskiej w pałacu przy Rue de Talleyrand trwało bezkrólewie. Od kilku miesięcy, gdy Putrament został wezwany do Polski, wciąż nie było nowego ambasadora, ponieważ oficjalnie wciąż nim był... Jerzy Putrament. Gdy ten pojawił się z walizką w gmachu ambasady, wśród personelu wybuchło przerażenie, że Tyran – bo takim cieszył się przydomkiem – wraca na stałe. Tylko Przemysław Ogrodziński, zastępujący ambasadora wiedział, że gość przybył na chwilę. Putrament powiedział mu, że w najbliższym czasie powinien spodziewać się nowego pracownika z waszyngtońskiej ambasady, który będzie odpowiedzialny za kulturę. Oczywiście nie wtajemniczył go w szczegóły intrygi. W związku z istniejącymi niedoborami kadrowymi wiadomość ta ucieszyła Ogrodzińskiego. Putrament siedząc za rzeźbionym biurkiem w swoim dawnym gabinecie pisał w skupieniu list do Miłosza. Wbrew własnej woli trochę się rozrzewnił, bynajmniej nie wspomnieniami wspólnych uniwersyteckich czasów, lecz obrazami natrętnie pojawiającymi mu się przed oczami, obrazami najprzyjemniejszych chwil przeżytych we Francji, których z pewnością w kraju już nigdy nie uświadczy. Otrząsnął się z kilkusekundowego zamyślenia i zakończył list pełen uprzejmych zwrotów przetykanych obawami o niego oraz zapewnieniami o wciąż żywych przyjacielskich stosunkach. Przy okazji nadmienił, że słyszał o jego przenosinach do Paryża. List został wysłany pocztą dyplomatyczną pierwszego lipca. Po tygodniowym pobycie w Paryżu Putrament opuścił ze smutkiem gmach ambasady. Zamykając za sobą metalowe skrzydło bramy obejrzał się, oczy mu zwilgotniały; nie rozumiał dlaczego, przecież uważał siebie za twardego faceta, któremu sentymentalne chwile nie powinny się zdarzać. „A jednak...” – pomyślał zaskoczony. W momencie, gdy brama wydała metaliczny odgłos, niemal wszyscy pracownicy wyglądający dyskretnie przez okna budynku odetchnęli z ulgą.

Dwunastego lipca Jerzy Putrament nocował już w swoim warszawskim mieszkaniu przy alei Niepodległości. Spokojnie oczekiwał rozwoju sytuacji wiedząc, że zanim potrzask

zadziała, minie wiele tygodni, a może i miesięcy. W nowym miejscu pracy, w kamieniczce ZLP na Krakowskim Przedmieściu, czekały już na niego inne pilne zajęcia. Jednym z nich było recenzowanie książek w celu wytypowania kilku do nagród państwowych. Praca ta nie była aż tak ważna dla funkcjonowania państwa, jednak pokazywała dobitnie mechanizm działania władzy oraz partyjnej maszyny. Biuro organizacyjne nagród państwowych zasypało go stosem książek, które musiał pilnie przeczytać i przedstawić swoje rekomendacje na posiedzeniu Biura Politycznego. Miał na to zaledwie kilka dni, bowiem nagrody były przyznawane tradycyjnie w dniu święta odrodzenia, 22 lipca. Na tymże posiedzeniu (na którym uczestniczył po raz pierwszy) w obecności Bolesława Bieruta i pozostałych członków politbiura, Sekretarz Generalny ZLP szczerze wypowiedział się o jednej z książek partyjnego literata, że jest słaba. Wszyscy zebrani spojrzeli po sobie znacząco, jakby pisarz popełnił niebywałą gafę. Po chwili pewien dygnitarz stwierdził, że ta książka jest niezła, a towarzysz Putrament z pewnością przesadził z negatywną oceną. Po nim głos zabrał Jakub Berman, który zganił Putramenta za krytyczną recenzję tłumacząc, że wyższe racje każą lansować tę właśnie książkę. Na skutek jego wystąpienia oraz w imię partyjnego interesu Putrament przyjął do wiadomości, że słaba książka stała się nagle wartościowa. W głosowaniu wszyscy ją poparli w imię partyjnych celów. Ideowa wartość okazała się bardziej słuszna od wartości literackiej, a ściślej mówiąc od jej braku. Słuszność mogła być tylko jedna. Jerzy Putrament po raz kolejny zrozumiał, że w budowaniu nowego ustroju poziom merytoryczny i logika mniej się liczą od racji wyższego rzędu. Zasadę tę stosował już jako swoją przez całe zawodowe życie. (Z kilkoma wyjątkami. Jednym z nich było, dwie dekady później, udostępnienie Jerzemu Andrzejewskiemu, przeciwnikowi ustroju, i innym sceptykom PRL-u, łamów tygodnika *Literatura*, co trzeba przyznać sine ira et studio. Ów gest Putramenta w ostatnich latach życia był nie tyle oznaką wspaniałomyślności, co próbą podretuszowania własnego wizerunku. Jest to już jednak historia nie mieszcząca się w ramach niniejszej opowieści).

Czesław Miłosz po otrzymaniu w czerwcu sugestii od ambasadora w USA, Józefa Winiewiczza, że centrala chce go przenieść do Paryża był zakłopotany, choć jeszcze nie zmartwiony. Gdy jednak otrzymał na początku lipca list od Putramenta sugerujący, że chciałby go mieć u swego boku w Paryżu, zmartwił się nie na żarty. (Miłosz nie wiedział, że Putrament od pół roku nie był już de facto ambasadorem).

- Tyran chce mnie mieć w swoim saku – stwierdził Miłosz, gdy z żoną jadł obiad w waszyngtońskim mieszkaniu. – Zobacz – wręczył jej list Putramenta.

Janka przeczytała go z uwagą.

- Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś? – wyskoczyła z pretensją w głosie pokazując mężowi datę.

- Minęło zaledwie kilka dni. Nie chciałem cię martwić, kochanie. Przecież mówiłem ci wcześniej o rozmowie z Winiewiczem, który wspomniał, że MSZ myśli o przeniesieniu mnie do Paryża.

- To były ponoć sugestie – stwierdziła ironicznie.

- Nie znasz języka dyplomacji? Każde ich słowo jest dziesięć razy przemyślane zanim coś istotnego przemyca w liście. I teraz, gdy on pisze, że słyszał o moich przenosinach do Francji, oznacza to, że sprawa jest poważna – stwierdził z troską w głosie.

- A może on tylko chce wybać grunt?

- Ostatecznie Paryż nie byłby zły. Jak sądzisz?

- Już mam dość tych naszych sporów o złą Amerykę i lepszą Europę – nagle wyskoczyła poirytowana. – Wałkowaliśmy ten temat sto razy; najpierw przy okazji odrzucenia przez Europę Wschodnią planu Marshalla, potem w czterdziestym ósmym, gdy

namawiałeś Einsteina do przyjazdu do Wrocławia na kongres pokoju. Mam ci jeszcze wyliczać?

Miłosz milczał przygaszony. Był zły na żonę, że niemal zawsze i we wszystkich sprawach widziała ciemne strony.

- Namawiałam cię rok temu, gdy „towaryszcz Rokossowski” – rosyjskie słowa wypowiedziała z ironią – został marszałkiem Polski, żebyś wreszcie przestał firmować swoim nazwiskiem komunistyczny reżim – niemal krzyczała. – Czy zapomniałeś, co napisałeś w *Traktacie moralnym*? Bądź w zgodzie z jego przesłaniem. Może już nadszedł czas, żebyś podjął ostateczną decyzję zerwania stalinowskich cum?

- Sam nie wiem – rzekł niepewnie.

- Ale ja wiem. Chcę żyć w wolnym świecie, w spokoju wychowywać dziecko, w spokoju donosić ciążę i szczęśliwie urodzić. Już nie wspomnę o wolnym czasie na książkę, kino, a ty mi mówisz, że nie wiesz? Ty niczego nie wiesz, zamykasz się w swoim pokoju i jesteś dla rodziny nieobecny. Nie interesują cię pieluchy, kupy, kaszki i całe to zsrane codzienne życie, bo ty tworzysz. – Wielki poeta twooorzy – rozciągnęła sarkastycznie ostatnie słowo.

- Teraz zerwanie z reżimem spowodowałoby dla nas wielkie komplikacje, a ty mówisz o spokoju. I faktycznie potrzebujesz go. Ja też – bronił się logicznie. – Ale przede wszystkim proszę cię, żebyś się uspokoiła. Mam już dość twojego niemiłego tonu – przeszedł do ofensywy.

- Nie krytykuję cię za to, że piszesz – uspokoiła się nieco, gdyż zorientowała się, że przestała się kontrolować – przeciwnie, wspieram całym sercem twoją twórczość, ale teraz nie wyobrażam sobie przenosin za Atlantyk, nie wyobrażam... – zapłakała dając upust nagromadzonym emocjom.

Miłosz zakrył twarz dłońmi.

- No powiedz coś – poprosiła go łagodnie, jakby przed chwilą nie była zdenerwowana.

- Ja tylko chciałem z tobą rozważyć za i przeciw, zastanowić się nad argumentami, przeanalizować fakty, a ty jak zwykle nie przyjmujesz do wiadomości nowych okoliczności, tylko masz z góry ustalone stanowisko. No to ja już nie wiem, jak z tobą rozmawiać.

- Jeśli nie chcesz zerwać...

- Zerwanie w chwili obecnej wszystkich cum będzie równoznaczne z moim samobójstwem... – po chwili dodał – ...jako poety. Nawet Einstein radził mi, że bym nie zrywał więzi z krajem, bo moim tworzywem jest język ojczysty.

- On nie rozumie skali intelektualnego terroru w tamtej części świata.

- Wyślę do Putramenta odpowiedź naświetlając mu wszystko ze szczegółami, przede wszystkim, że jesteś w ciąży i że teraz nie jest to najlepszy moment na przenosiny. Jak sądzisz?

- Dla mnie najważniejsze jest życie w kraju, w którym wszystko jest normalne. A dla ciebie? Chyba sam wiesz, co jest dla ciebie najistotniejsze. Choć prawdę mówiąc nie wiem, czy wiesz... – znowu poniosły ją nerwy.

- To jest wszystko potwornie skomplikowane, jestem więźniem języka, bo w nim piszę i równocześnie więźniem rządu warszawskiego. Ale dzięki tym drugim kajdanom żyjemy w wolnym świecie, przez co płacę straszliwą cenę. Prawdę mi powiedział Tyran, jak wyjeżdżaliśmy w czterdziestym piątym na Zachód, że podpisuję diabelski cyrograf.

- Pakt z diabłem – zaśmiała się Janka, zaś w jej oczach pojawiły się znowu łzy. – Jak Faust. – Zaśmiała się jeszcze głośniej. – Jesteś polski Goethe! – wykrzyczała, jakby obwieszczając to światu. – Broń Boże, nie kpię z ciebie. Powiem ci co w tej chwili czuję, czuję coś takiego, jak wtedy w Goszycach, gdy rozstawaliśmy się z tamtejszą młodzieżą, pamiętasz? Powiedziałam im, że dostaniesz Nobla...

- Pamiętam.

- No więc mam przeczucie, że ten diabelski cyrograf, który podpisałeś, abyśmy byli wolni i żebyś ty mógł tworzyć korzystając z tej wolności, i ta cena, o której mówisz, i całe to nasze piekielnie pokręcone życie..., że to wszystko nie może być na darmo, nie może... – wybuchła spazmatycznym płaczem.

- Proszę cię, uspokój się – objął ją czule.

- Jestem spokojna – starała się powstrzymać szloch.

- Putrament to łobuz i krętacz. Nie można mu wierzyć za grosz, ale z tym cyrografem powiedział, a właściwie powiedziało mu się to szczerze.

- Co zamierzasz? – żądała konkretów.

- Być na Zachodzie. Zawsze.

- To jest cel, lecz jak go osiągnąć?

- Na razie grać na zwłokę...

- Cały czas uczestniczymy w tej cholernej grze, której do końca nie znamy reguł.

- Masz rację, jest to gra podstępów, pozorów prawdy, fałszywej lojalności, nieustających ustępstw. Czasem odnoszę wrażenie, że wszyscy w Polsce uczestniczą w tej grze.

- Obawiam się, że między grającymi powstała już pewna solidarność – Janka zaskoczyła tą konstatacją męża, który popatrzył na nią uważniej, niż zwykle.

- Najbliższy ruch w tej podłej grze, to zwlekanie z wyjazdem do Paryża, a kiedy nie będzie można już opóźniać przenosin, pojedziemy tam – proponował niepewny zerkając, czy nie wywoła to u niej kolejnego wybuchu złości. – Napiszę jeszcze o radę do Krońskich.

- Nie licz na rady innych, sam podejmij decyzję w zgodzie z własnym sumieniem. Nie możesz do końca życia uczestniczyć w brudnych gierkach z czerwonym diabłem i przekonywać siebie, że wszystko jest okay. Wybierz wreszcie; wyjść z tego bagna, czy w nim tkwić?

- Chyba nie jestem jeszcze na to gotowy. W tej sytuacji Paryż wydaje się być najrozsądniejszym rozwiązaniem.

- Mamy małe dziecko, drugie w drodze... – mówiła teraz łagodnie, jakby w ogóle wcześniej nie była zdenerwowana. – Więc sądzę, że po porodzie, gdy dojdę do siebie, powinieneś zakończyć karierę dyplomaty.

Miłosz odetchnął z ulgą i pocałował żonę.

- Powiem ambasadorowi, że w przypadku przeniesienia do Paryża nie będę się starał o przedłużenie pobytu w Stanach.

- Tylko jeszcze jeden drobiazg – żona spojrzała mu głęboko w oczy, jakby chciała go prześwietlić – zastanów się, czy filozofia ketmana ci odpowiada? – powiedziała mocnym głosem.

Miłosz nie wytrzymał jej świdrującego wzroku i skierował oczy w kierunku okna.

- Ależ... co ty mówisz, Janka... Przecież ja nie jestem w kraju – rzekł tonem osoby przyłapanej na gorącym uczynku.

- Jesteś. Jesteś urzędnikiem tego państwa i jesteś w nim obecny swoimi wierszami.

- Wiem, o czym myślisz, ale ja... – przerwał nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

- Czesiu, nie musisz teraz odpowiadać. Proszę cię tylko, zastanów się nad tym.

Po omówieniu bieżących spraw wiceminister MSZ Stanisław Skrzyszewski, poprawiając okulary, przeszedł do kolejnego punktu zebrania.

- Teraz sprawa Miłosza – otworzył grubą kartonową teczkę, przewertował kilka kartek i zdecydowanym głosem przemówił – towarzysze, mamy połowę września, sprawa ciągnie się, jak flaki z olejem, od czerwca, kiedy zakomunikowano mu, że będzie przeniesiony do Paryża i... wciąż drepczemy w miejscu. Obchodzimy się z nim, jak ze śmierdzącym jajkiem. Tak nie może być. Widzę, że towarzysz Wierbłowski chce zabrać głos, proszę.



- Mój raport z pobytu w Waszyngtonie oraz relacja rozmowy z nim znajdują się w teczce...

- Przypomnijcie w skrócie – rzekł wiceminister.

- On generalnie zgodził się na przeniesienie do Paryża, ale nieustannie przeciąga termin wyjazdu pod pretekstem kłopotów z ciążą żony, wojny koreańskiej, a nawet leczenia zębów. W związku z tym ambasador Winiewicz prosi o instrukcje, co ma robić i pyta, czy nam tak bardzo na nim zależy; poza wszystkim wyczuwa jego kręactwo.

- Odnoszę wrażenie, towarzysze – przerwał mu wiceminister – że błądzimy jak dzieci we mgle i nie potrafimy ustalić, co jest przyczyną tej niezrozumiałej zwłoki w sfinalizowaniu sprawy. Nie muszę wam przypominać, że w tym przypadku występuje dwutorowy ciąg zdarzeń; oficjalny, o którym mówi sekretarz Stefan Wierbłowski i nieoficjalny, ważniejszy dla nas. Ten drugi ciąg wyznacza nadrzędny cel ściągnięcia go do kraju i pozbawienia prawa wyjazdu za granicę. Takie są wytyczne towarzysza Bermana, co zostało zaakceptowane przez partię i kierownictwo MSZ. Nie interesują nas jego sprawy prywatne, ważniejsze jest bezpieczeństwo kraju i zwarcie szeregow w tym trudnym okresie.

- Jeśli można – niepewnie podniósł rękę Wierbłowski. Skrzyszewski skinął w jego kierunku głową. – To, co powiedział towarzyszu minister, oczywiście nie podlega żadnym wątpliwościom. Chciałem tylko dokończyć swój wywód. Jesteśmy służbą dyplomatyczną i ten pierwszy ciąg zdarzeń, o którym była mowa, wpisuje się w sztukę dyplomacji, a więc jak to należy uczynić, aby go skutecznie ściągnąć i nie wzbudzić z jego strony żadnych podejrzeń. Cel jest jasny; Miłosz ma znaleźć się w Warszawie. Ale nie możemy tego zepsuć, nawet jeśli to zbyt długo trwa, bo sprawa ma się już ku końcowi.

- Nie pieprzcie towarzyszu, wiadomo o co chodzi. – W tym momencie Skrzyszewski zwrócił się do protokolantki – oczywiście tego zdania proszę nie protokołować.

- Jednak jestem przekonany, że on nie chce uciec – stwierdził Wierbłowski. – Po zapoznaniu się z całokształtem sprawy i opinią lekarza na temat komplikacji z ciążą żony, ustaliliśmy ostateczny termin jego wyjazdu, a ściślej wypłynięcia statkiem, na dzień 28 września.

- Tylko jaką ja mam gwarancję, że wasze zapewnienie, co do jego przyjazdu, się sprawdzi?

- Gwarancja to moje doświadczenie jako członka KPP, Komsomołu, Francuskiej Partii Komunistycznej i naszej partii – rzekł łamiącym się głosem. – Z Miłoszem odbyłem długą, szczerą rozmowę, proszę pamiętać, że on w duszy jest poetą, nie dyplomatą i nie podejrzewa podwójnej gry. Dotrzyma słowa. Poza tym musimy unikać kolejnej dezercji funkcjonariusza państwowego, bo byłaby to woda na młyn dla propagandy imperialistycznej, a dla nas kompromitacja.

- Postawiliście na szali cały swój partyjny autorytet.

- On przyjedzie – zapewnił Wierbłowski.

- Propozycje? – Rzucił wiceminister spoglądając na mikrogo człowieczka z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oddelegowanego do MSZ, porucznika UB Jana Śliwę, który zamierzał coś powiedzieć.

- Należy zgodzić się z sugestią ambasadora Winiewicza, aby w Paryżu mianować go radcą kulturalnym... – przemówił Śliwa.

- A nawet pierwszym sekretarzem do spraw kulturalnych – poprawił go Wierbłowski – żeby wszystko wyglądało wiarygodnie.

- Zgoda – zaakceptował propozycję wiceminister.

- Wyplacić jego żonie, pozostającej na razie w Waszyngtonie, pięćset dolarów i potem miesięcznie przekazywać jej niższą zapomogę – ciągnął dalej ubek.

- Trzysta wystarczy – powiedział wiceminister. – Dalej... – ponaglał go.

- Towarzyszu, nasz resort proponuje pięćset, żeby nie wzbudzać podejrzeń... – rzekł zdezorientowany funkcjonariusz.

- Jeśli wasz resort będzie płacił, to nie mam nic przeciwko temu – powiedział ironicznie wiceminister.

- Trudno – rzekł niechętnie. – Poprawiam więc na trzysta – ubek przekreślił w swoich notatkach kwotę 500 \$ i nad nią dopisał 300 \$. – Po objęciu funkcji w Paryżu pozostawić go tam dwa, trzy miesiące, aż poczuje się pewniej, potem należy go ściągnąć na dwa tygodnie do Warszawy pod pretekstem przekazania szczegółowych instrukcji w zakresie polityki kulturalnej. Gdy pojawi się w stolicy dać mu niezwłocznie legitymację z nowym stanowiskiem sekretarza ambasady w Paryżu, a kilka dni później skreślić go z listy personelu MSZ.

- Może jednak nie pouczajcie nas co do szczegółów pracy MSZ-u, wiemy dobrze jak to się robi, towarzyszu. Wy zajmijcie się bezpieczeństwem, a my dyplomacją – zdenerwował się wiceminister.

- Rzecz jasna Paryż nie może się dowiedzieć o naszych zamiarach – powiedział z naciskiem Stefan Wierbłowski. – Swoją drogą mogą być problemy z jego akredytacją, bo rok temu w Szczecinie został aresztowany francuski konsul podejrzany o szpiegostwo, więc można się spodziewać retorsji.

- To są sprawy drugorzędne, nie ma się co nimi przejmować. Jeśli Quai d'Orsay odmówi akredytacji, mamy możliwość w Londynie. Szef Instytutu Kultury Polskiej, Słonimski, niedługo kończy urzędowanie.

- Instytut podlega Ministerstwu Kultury i Sztuki – zauważył funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa.

- Towarzyszu... – ponownie zirytował się Skrzyszewski – czy sądzicie, że w MSZ-ecie pracuje tumaneria? Istnieje jeszcze coś takiego jak koordynacja międzyresortowa i zapewniam was, że to działa.

- Dzięki partii – ubek chciał wybrnąć jakoś z tej sytuacji.

Zgodnie z obietnicą daną Wierbłowskiemu, dnia 28 września w nowojorskim porcie Czesław Miłosz wszedł na pokład statku i odpłynął do Europy. W Waszyngtonie została żona (w piątym miesiącu ciąży) z trzyipółletnim Antosiem, mając nadzieję, że wkrótce dołączy do męża w Paryżu. Po przybyciu do Francji poeta zgłosił się do ambasady polskiej, ale – najprawdopodobniej z powodu panującego w ministerstwie bałaganu – pełniący obowiązki ambasadora, Przemysław Ogrodziński, nie miał dla niego żadnego przydziału. Po interwencji w Warszawie, Miłosz zaczął pełnić obowiązki pierwszego sekretarza do spraw kulturalnych. Choć był to czas pogorszenia się stosunków Polski z Francją, jednak władze francuskie udzieliły mu akredytacji. Gmach ambasady przypominał twierdzę, której strzegł wartownik z karabinem automatycznym gotowym do strzału. Stosunki międzyludzkie były, delikatnie mówiąc, nieciekawe, placówka przypominała więzienie. Natomiast budynek, w którym zamieszkiwał wspólnie z innymi pracownikami placówki, był niczym oddział więzienia. Miłosza obserwowali informatorzy oficjalni (pracownicy wywiadu, kontrwywiadu i ubecy) oraz nieoficjalni (kierowcy, portierzy, sprzątaczkę i urzędnicy-gorliwcy komunistycznego ustroju). Nie mając świadomości, co się wokół niego dzieje, zachowywał się, jak na istniejącą atmosferę lat pięćdziesiątych, normalnie, czyli ostrożnie. Rozmawiając prywatnie z niektórymi pracownikami ambasady liczył się z każdym słowem. Najchętniej dialogował z młodymi urzędnikami ambasady, poetą Arturem Międzyrzeckim, poetką Julią Hartwig i jej mężem, Zygmuntem Kałużyńskim, dziennikarzem, przy których czuł się swobodniej, ale i tak się kontrolował. I słusznie, bowiem Międzyrzecki należał do grona najgorliwszych wyznawców nowej wiary, zaś Kałużyński był dla władzy wielce usłużny w udzielaniu interesujących ją informacji.

W tym czasie spotykał się kilkakrotnie z tłumaczką Anielą Micińską, zwaną Nela. Za każdym razem w innym miejscu. Tego dnia umówili się w sympatycznej knajpce bałkańskiej w Dzielnicy Łacińskiej. We Francji mógł ufać tylko jej. Micińska była przedwojenną pracownicą MSZ, zaś po wybuchu wojny przedostała się do Francji, w której doświadczyła dramatycznych przeżyć okupacyjnych; zginął jej brat, a sama była więziona przez Gestapo. W Polsce pojawiła się krótko w 1948 r. we Wrocławiu jako tłumaczka Światowego Kongresu Intelktualistów w Obronie Pokoju. Tu przyjrzała się z bliska prawdziwemu obliczu narzuconego siłą ustroju.

Upiwszy z malutkiej filiżanki łyk mocnej kawy, Miłosz zarysował jej swoją aktualną sytuację.

- Wciąż biję się z myślami, czy jechać do Warszawy? – dzielił się z nią wątpliwościami, oczekując rady.

- Wezwali cię oficjalnie? – upewniła się Nela.

- To kwestia czasu. Wolę jednak pojechać z własnej inicjatywy, by im pokazać, że nie muszą się obawiać braku mojej lojalności.

- Lojalność... – powtórzyła zdęgowana brzydząc się tego słowa. – Wiatry wieją z zachodu na wschód, a ludzie wieją ze Wschodu na Zachód – zażartowała. – Nie wybieraj się tam.

- Niedawno zostałem sekretarzem do spraw kulturalnych i otrzymałem akredytację, o którą jest szalenie trudno, więc po co miałby coś knuć?

- Przyjrzałam się tym wszystkim typkom o kwadratowych gębach, którzy nas non stop pilnowali na kongresie, widziałam naszych służalczych literatów z Iwaszkiewiczem na czele, niepewnych jutra uczonych, obserwowałam władczych kremlofskich funkcjonariuszy i sowieckich pisarzy o rozbieganych oczach... – i powiedziałam sobie: „Kobieto, chociażby cię mamili piękną polniemiecką willą, dobrze płatną posadą, nie daj się skusić; po zakończeniu roboty uciekaj czym prędzej z tego kraju, bo to nie jest już twoja Polska, ale sowiecka” – zakończyła zdanie ze łzami w oczach.

- Mimo, że MSZ wie o moim sceptycyzmie co do niektórych działań władz, to chyba jednak jestem im potrzebny. Pamiętaj, że kraj potrzebuje inteligencji.

- Kraj tak, ale czy władza? – Wątpiła.

- Ona wie, że już przed wojną byłem lewicujący. Dla nich jest to w jakimś sensie moja legitymacja.

- Lewicujący oznacza dla komunistów wahający się. Oni żądają bezwzględnego opowiedzenia się za Stalinem – skontrowała go Nela.

- W końcu nie mogą pozamykać wszystkich mających swoje zdanie.

- Wszystkich nie, ale będą starali się zamknąć jak najwięcej niezależnie myślących.

- Skąd to wiesz? – zdumiał się Miłosz.

Nela wskazała palcem na czubek swojego nosa.

- Mój nos mi to mówi.

- Przez tyle lat pracuję dla nich – choć nie chcę teraz mówić o moich wątpliwościach, udawaniu i całej tej śmierdzącej pulpie, w której tkwię po uszy – więc nie rozumiem dlaczego akurat teraz miałby mnie capnąć?

- Bo nastały czasy jedne z najgorszych w historii naszego kraju. Uważaj na siebie.

- Więc co radzisz?

- Już ci powiedziałam.

- A teraz akcja „Wieszcz” – major Mieczysław Różycki, kierownik wydziału w departamencie kontrwywiadu UB, rozpoczął kolejny punkt z długiego porządku obrad. – Figurant „Wieszcz” to wrogi dla ustroju osobnik, największy krytykant ludowego państwa spośród wszystkich przedstawicieli w naszych placówkach dyplomatycznych.

- I wśród literatów – dodał porucznik Śliwa.
- Wkrótce wraca z placówki w Paryżu – ciągnął major nie zwracając uwagi na wtórny porucznika. – Jak się tylko pokaże w kraju, należy go dyskretnie obserwować, bo nie wiemy co może wywinać.
- Po przyjeździe ma obowiązek oddania paszportu w ciągu siedmiu dni. Będzie wtedy nasz, za granicę już się nie ruszy – powiedział z satysfakcją Śliwa.
- Musimy wiedzieć z kim się spotyka i co ewentualnie knuje. Takim gryziopiórkom nie można ufać. Przypomnijcie, poruczniku, nazwiska jego znajomych, z którymi może się spotkać – poprosił prowadzący posiedzenie.
- Maria Dąbrowska – pisarka, Anna Kowalska – pisarka, Jarosław Iwaszkiewicz – pisarz i poeta, bracia Brandysowie – pisarze, Jerzy Putrament...
- Dajcie spokój, towarzyszu, to zaufany człowiek partii, zresztą pomysł ściągnięcia figuranta do Polski powstał z jego inicjatywy. Przerwałem wam, mówcie dalej... – major wskazał ruchem głowy na Śliwę.
- Tadeusz Kroński i Irena Krońska – filozofy... powiedział niepewnie porucznik.
- Filozofowie, towarzyszu. – poprawił go przełożony. – Przypominam, pracujecie w komórce zajmującej się ludźmi kultury.
- Tak jest – zgodził się posłusznie.
- Maturę już zrobiliście?
- W tym roku szkolnym zdaję.
- Podciągnijcie się z polskiego, poruczniku. Stopień oficerski zobowiązuje – zmobilizował go po ojcowsku Różycki. – Dalej...
- Ryszard Matuszewski – krytyk, Natalia Modzelewska – żona ministra.
- O właśnie – zatarł ręce major. – Pani Natalia Modzelewska..., delikatna sprawa. Przypominam sobie raport naszego źródła z Waszyngtonu bodaj sprzed trzech lat; przystojny poeta i piękna żona ministra..., przypuszczalnie mieli się ku sobie, byli na kolacji z ambasadorką Marią Winiewiczową. W tym przypadku trzeba się wykazać inteligencją i taktem, żeby nie przesadzić, ponieważ minister Zygmunt Modzelewski jest szanowanym towarzyszem, a jego żona jest Rosjanką. Dalej...
- Jan Parandowski – pisarz, Aleksander Wat – poeta, Jerzy Andrzejewski – pisarz, Władysław Szpilman – pracownik radia, Karol Kuryluk – redaktor, Halina Micińska – pisarka, Michalina Kalinowska – była pracownica ambasady w Waszyngtonie i Andrzej Miłosz – brat.
- Towarzysza Kuryluka też zostawcie w spokoju.
- No i jeszcze z Krakowa Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz, Kazimierz Wyka, Marian Eile, Aleksander Miłosz – ojciec...
- Tymi się nie zajmujcie, w chwili ewentualnego przemieszczenia się tam figuranta przejmie ich Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Krakowie po otrzymaniu od nas informacji telefonogramem, oczywiście wszystkie te nazwiska trzeba mieć na uwadze.
- Jeszcze Tadeusz Breza i Wojciech Żukrowski – pisarze – Śliwa spojrzął na kartkę.
- Tego ostatniego też skreślcie z listy. Każdy z nich ma swoją teczkę?
- Większość ma, co do pozostałych, jestem w trakcie kompletowania.
- Wykonaliście kawał dobrej roboty, pracujcie dalej. I cały czas konsultujcie się ze mną, żeby nie wdepnąć w gówno – major spojrzął pouczającym wzrokiem na referującego. – Aha, drobna uwaga metodologiczna, towarzyszu Śliwa, wykazy sporządza się według jakiegoś klucza; na przykład według zagrożeń dla ustroju i interesów państwa, ważności osób lub sprawy, częstotliwości spotkań, płci, zawodów, uzależnień, zboczeń, słabostek, zainteresowań, czy wreszcie alfabetycznie, wymieniać można w nieskończoność. Ta lista... – mimo, że napracowaliście się przy wyłowieniu nazwisk – jest bez składu i ładu. Ale nie

krytykuję was za to, bo tego nie wiedzieliście. Teraz już wiecie. Przeredagujcie ją, to znaczy uporządkujcie po prostu alfabetycznie.

W grudniu Miłosz polecił z Paryża do Londynu do Antoniego Słonimskiego, który po wielu latach pobytu za granicą zdecydował się na powrót do kraju. Skamandryta już wcześniej zaproponował Miłoszowi objęcie po nim od kwietnia przyszłego roku stanowiska dyrektora Instytutu Kultury Polskiej. Sprawa była uzgodniona w Warszawie. Okazało się jednak, że propozycja stała się nieaktualna, bo rzekomo nastąpiło jakieś nieporozumienie. Prawda była taka, że centrala mając już jasno sprecyzowane plany wobec Miłosza, wycofała się z tej propozycji. W związku z tym poeta przeżył przykre chwile napięcia nerwowego. Czuł, że było coś nie tak, lecz nie zdawał sobie sprawy, że wokół niego powoli zaciskała się pętla zasadzki. Był jednak zdecydowany okazać swą lojalność i wywiązać się z zawartego z Putramentem paktu. Do jego świadomości nie docierały żadne sygnały ostrzegawcze, ani rady, żeby nie wracał do Polski. W kiepskim nastroju polecił do Pragi, skąd pociągiem udał się do Warszawy. Po półtorarocznej nieobecności, dwudziestego grudnia, stanął na stołecznym bruku przed drewnianym budynkiem dworca Śródmieście zastępującym nieczynny Dworzec Główny. Wsiadł do szarej taksówki, która niespodziewanie pojawiła się przed nim. Taksówkarz, wioząc go, od razu zaczął narzekać na brak zaopatrzenia w sklepach, na wysokie ceny, złodziejstwo, spekulację, słowem na wszystko, co kojarzyło się z nową władzą. Miłosz milczał przezornie, bo nazbyt szczere lamentsy „sałaciarza” wydały mu się podejrzane.

Po zawiezieniu go pod blok przy ulicy Wileńskiej 39, taksówkarz podjechał pod kawiarnię na ulicę Koszykową, skąd zabrał porucznika Śliwę.

- Śpiewaj, Skiba, co gadał – zażądał ubek.
- Zawiozłem go na Wileńską.
- Co mówił?
- Całą drogę cicho siedział. Ciągnąłem go za język, ale nie odezwał się słowem.
- Miałeś go naprowadzić na rozmowę, ponoć masz gadane...
- Gadałem, jak najęty, krytykowałem partię, władzę, wszystko..., a on nic, tylko gapił się bezmyślnie przez szybę.
- Naprawdę nie pisał nic?
- Absolutnie.
- Jesteś bałwan. Nie wiem, za co ci płacimy. Na przyszłość staraj się lepiej, bo porozmawiamy inaczej. I pamiętaj, że wisisz mi jeszcze dwie stowy za lewe kursy. – zdenerwował się porucznik i opuściwszy škodę trzasnął głośno drzwiami.

Nazajutrz w wydziale paszportowym ministerstwa Miłosz oddał paszport, po czym udał się do działu kadr, gdzie otrzymał legitymację z wypisanym czarnym tuszem stanowiskiem pierwszego sekretarza do spraw kulturalnych w ambasadzie R.P. w Paryżu. Spojrzawszy na nowiutki dokument MSZ doznał mieszanych uczuć: „Może nie będzie tak źle, jak sądziłem... Oni potrzebują inteligencji, a ja jeszcze przez pewien czas potrzebuję ich...” – pomyślał. Po załatwieniu formalności pojechał tramwajem na Krakowskie Przedmieście do siedziby ZLP, gdzie spotkał się z Jerzym Putramentem w jego gabinecie. Witając się wręczył gospodarzowi butelkę francuskiej brandy, którą od razu schował do szafy. Miłosz zaskoczony był niewielkimi rozmiarami pokoju, myślał bowiem, że komisarz literatów będzie miał przestronny gabinet.

- Skromnie urzędujesz – zdziwił się.
- A no, widzisz, mam tu inne warunki niż te, do których przywykłem na placówkach, zresztą ty chyba też przyzwyczyłeś się do wygod – odpowiedział sekretarz ZLP.

Rozmowa ich była uprzejma, lecz była to uprzejmość pokerzystów, każdy z nich miał świadomość prowadzonej przez siebie gry. Miłosz chciał dowieść swojej lojalności, że go nie zawiódł w służbie dyplomatycznej (Putrament ręczył za niego w czterdziestym piątym roku rekomendując go na placówkę w Szwajcarii, do której w końcu nie pojechał). Przy chińskiej herbacie Ulung, bo lepszej w ZLP nie było, obaj wymieniali się opowieściami i wrażeniami od chwili, gdy się widzieli ostatnio w 1949 r. w Paryżu. Wówczas to poeta, lecąc ze Stanów na urlop do Polski, zatrzymał się na krótko we Francji, zaś Putrament będąc ambasadorem, zaprosił go do klubu, w którym śpiewała Juliette Greco. Skosztowawszy nieodrobnej herbaty, Miłosz z trudem ją przelknął i zmusił się do uśmiechu, by nie robić koledze przykrości. Opowiadał w szczegółach o swojej pracy i życiu prywatnym. „Powiedziałeś mi kiedyś, gdy wyjeżdżałem służbowo na Zachód, że podpisuję diabelski cyrograf – pomyślał w ułamku sekundy patrząc na jego wodniste oczy – i rzeczywiście podpisałem go. Przybyłem tu z własnej woli, jak sobie życzyłeś. Nie zdradziłem cię, powinieneś to docenić. Możemy się różnić co do poglądów na obecną rzeczywistość, poglądów, których wcale nie kryję, bo jestem szczerzy, w końcu łączy nas koleżeństwo z czasów studenckich, szorstkie, ale jednak koleżeństwo. I ta przedziwna, trochę tajemnicza, wileńska więź” – kontynuował myśl, choć w tym czasie mówił o czymś innym; o konsumpcyjnym stylu życia Amerykanów, o swojej twórczości, o sytuacji Janki pozostawionej w ostatnim trymestrze zagrożonej ciąży. Zresztą dla niej mógłby nawet kłamać jak z nut na temat łączącej go braterskiej więzi z tym oto funkcjonariuszem partyjnym, byle tylko zdobyć jego zaufanie i nie musieć mieszkać na stałe w stalinowskiej Polsce.

Sekretarz Generalny ZLP grał przyjaciela z uwagą wysłuchując jego refleksji i żartów. Jednak w duchu nie mógł powstrzymać radości, że jego plan powiódł się, ryba złapała się na haczyk. Miał skryte marzenie, aby pociągnąć mocno za linkę, wyjąć zdobycz, a przed schowaniem jej do pojemnika powiedzieć do pyszczka łapiącego z trudem powietrze: „Wyrównujemy rachunki za te wszystkie upokorzenia, których doznałem od ciebie, za ten mecz bokserski w gimnazjum, gdy mi rozkwaśnięty nos, za usuniętą przez ciebie z „Żagarów” moją nowelę, za upokorzenie na łódce w Trokach, gdy na twoje skinienie wiosłowałem, a ty czule gawędziłeś z Iwaszkiewiczem, za krytykanctwo ustroju, choć oficjalnie udajesz tolerancyjnego zwolennika rządu i partii, za niechęć żywioną do mnie, za zadzieranie nosa – powiem ci to teraz z satysfakcją – pozostaniesz w kraju na zawsze, bez możliwości wyjazdu na Zachód do żonki, znajomków i innych emigracyjnych zgniłków, cierp, jak ja cierpiałem dawniej, poznaj prawdziwe życie w kraju”. Putrament jednak wiedział, że nie może teraz postawić kropki nad „i”, bo zdradziłby się, że jest autorem pomysłu zwabienia go tu i zatrzymania. Wiedział też, że za kilka dni mają mu to powiedzieć oficjalnie w ministerstwie.

Po miłej pogawędce Miłosz pożegnał się odnosząc wrażenie, że wszystko jest po staremu. Putrament dziwnie lekko uściśnął mu dłoń, która, jak na niego, była zbyt miękka, bowiem zawsze witając się lub żegnając, popisywał się uściskiem drwała. Poeta zauważył to, lecz pozytywne wrażenie po odbytej rozmowie przysłoniło ów nietypowy dla niego uścisk dłoni, o czym przypomniał sobie kilka dni później.

Dwudziestego trzeciego grudnia pojechał do Krakowa, by spędzić z ojcem, i jego drugą żoną, wigilię i pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Po krótkim pobycie w ich domu poszedł odwiedzić Stefana Kisielewskiego, którego znał od 1937 roku. Już wtedy Miłoszowi podobał się jego oryginalny styl recenzji muzycznych zamieszczanych w kilku czasopismach; namawiał wówczas Stefana, aby zajął się poważnie pisaniem. Kisielewski wziął sobie do serca słowa przyjaciela, bowiem później – poza pierwszą pasją, którą była muzyka – drugą, o wiele ważniejszą namiętnością, stała się dla niego literatura.

Niestety Stefana nie było w domu. Miłosza przyjęła jego żona, Lidia.

- Fantastycznie, że nas odwiedziłeś, nie widzieliśmy się chyba pięć lat. Żałuję, że nie ma Stefana – mówiła Kisielewska podając mu kawę z makowcem. – Kiedy Janka rodzi?
- W drugiej połowie stycznia. Martwię się o nią, bo będzie miała cesarkę.
- Doskonale cię rozumiem, ty tu, a ona tam...
- Chciałbym być przy niej, lecz nie wiem, czy z Paryża puszczą mnie choćby na chwilę do Waszyngtonu.
- Mówisz o Waszyngtonie i Paryżu, a czy nie boisz się, że mogą cię tu zatrzymać?
- Jak to? – Przestraszył się Miłosz. – Więc twierdzisz, że to się zdarza?
- Oczywiście. To jest całkiem możliwe. Szczególnie teraz. – Powiedziała przekonująco.

Miłosz pobladł i nie był już w stanie prowadzić dalszej rozmowy. Po dokończeniu kawy szybko wyszedł. Nie odwiedził nawet innych znajomych, choć miał zamiar spotkać się jeszcze z Kazimierzem Wyką i Jerzym Turowiczem. Wigilię spędził z ojcem, u którego był jeszcze prawie cały pierwszy dzień świąt. Wieczorem wracał już pociągiem do stolicy, ponieważ w drugim dniu świąt nie chciał wyglądać na zmęczonego. Był bowiem zaproszony przez Jarosława Iwaszkiewicza do dworku w Stawisku, gdzie mieli być interesujący goście: Maria i Kazimierz Brandysowie, Zygmunt Mycielski oraz Natalia Modzelewska. Na jej obecności zależało mu najbardziej.

Poznali się w 1947 roku w Stanach Zjednoczonych, gdy przyleciała z mężem, Zygmuntem Modzelewskim, który jako minister spraw zagranicznych, uczestniczył w jesiennej sesji ONZ. Czesław Miłosz, pełniący funkcję attaché do spraw kulturalnych w waszyngtońskiej ambasadzie, otrzymał zadanie opiekowania się panią Natalią. Ambasador powiedział mu tylko trzy zdawkowe informacje, że jest z pochodzenia Rosjanką, absolwentką Instytutu Literackiego w Moskwie i mówi dobrze po polsku. Miłosz chciał się dowiedzieć o niej czegoś więcej, ponieważ był rzetelnym pracownikiem dyplomacji. Od starszego kolegi z ambasady, zaufanego krajana z Wilna, pana Kiejstuta (który przeżył wojnę w Rosji Sowieckiej) dowiedział się jeszcze, że jej pierwszym mężem był niejaki Budniewicz... – w tym momencie pan Kiejstut szepnął mu do ucha – który został skazany na kilka lat łagru. Dalej mówił, wciąż szeptem, że ma z nim dziecko, które powinno mieć teraz około 10 lat, a z ministrem poznała się w 1939 r. w Moskwie, dokąd przyjechał z Francji w trzydziestym siódmym, w tym samym roku go zamknęli i dwa lata przesiedział na Łubiance. Pani Natalia zamieszkała z nim w Polsce w 1945 r. Na końcu dodał, że jest zafascynowana naszą kulturą. Miłosz po usłyszeniu tych informacji spodziewał się zobaczyć nobliwą rosyjską matronę. Gdy jednak pojawiła się z mężem w drzwiach ambasady, zobaczył elegancką, atrakcyjną kobietę o dziewczęcym wyglądzie z rozpuszczonymi do ramion blond włosami. Doznał przyjemnego zdziwienia. Przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać od niej oczu. Natalia Modzelewska również przez kilka sekund zatrzymała na przystojnym attaché wzrok, co trwało według niej zbyt długo, dopiero siłą woli przekonała siebie, że nie wypada dłużej niż dwie, trzy sekundy zawieszać wzroku na widzianym po raz pierwszy mężczyźnie. Ich spojrzenia wciąż trwały skrzyżowane, wreszcie pani Natalia zmusiła się do odwrócenia głowy w kierunku ambasadora Winiewicza, który w tym momencie przedstawiał ministrowi personel ambasady. Miłosz stał w środku szeregu, miał więc czas na poprawienie marynarki i krawata. Po przywitaniu się z Modzelewskim, podał pani ministrowej rękę, wówczas po raz drugi spojrzeli sobie w oczy uśmiechając się miło. W mgnieniu oka dostrzegł w jej spojrzeniu impuls sympatii; przekonany był, że również ona odebrała podobny sygnał. Był pewny (jak rzadko bywał pewny w swoich przypuszczeniach, czy decyzjach), że spędzony z nią czas nie będzie stracony. Po zakończonej prezentacji ambasador zajął się ministrem. Obaj mieli mało czasu, bowiem nazajutrz musieli jechać do Nowego Jorku na sesję ONZ. Ambasador na chwilę przeprosił ministra i jego żonę.

- Towarzyszu Miłosz – Winiewicz przywołał go do siebie. – Macie przygotowany plan urozmaicenia czasu pani ministrowej?

Miłosz nie znosił, gdy zwracano się do niego per „towarzysz”, ale nie mógł swojemu przełożonemu zwracać na to uwagi. (W owym czasie w administracji rządowej panował sowiecki zwyczaj mówienia do każdego „towarzyszu”). Sapnął ze złości, po czym podszedł do ambasadora.

- Oczywiście – potwierdził. – Zaraz umówię się z panią ministrową, aby jej przedstawić propozycje.

- Może jutro, panie Czesławie – odezwał się nieoficjalnym tonem Modzelewski, który usłyszał ich rozmowę. – Po podróży jesteśmy zmęczeni.

- Jestem do dyspozycji – rzekł uprzejmie poeta.

- Proponuję, panie Czesławie – wypowiedziała to imię z czułością – abyśmy spotkali się zaraz po śniadaniu, dobrze?

- Poproszę także małżonkę, żeby się włączyła... – zakomunikował Miłoszowi Winiewicz.

- Jak najbardziej... – zgodził się, choć nie był z tego powodu szczęśliwy.

Miłosz był zaskoczony zwróceniem się do niego po imieniu przez ministra. Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy tego samego zwrotu użyła jego żona; jej słowa (z minimalnym wschodnim zaśpiewem) potwierdzały jego pozytywne wyobrażenia o niej. „Mam dziwne przeczucie, że coś nas łączy – pomyślał z ekscytacją – może podobne zainteresowania, może nadzieja na zawarcie sympatycznej znajomości... Niewątpliwie jest interesującą kobietą. I cieszy mnie to, że nie wygląda na nudną żonę dygnitarza” – ukontentowany dokończył refleksję, po czym pożegnał się i odszedł. Idąc w kierunku wyjścia po raz kolejny popatrzył na nią ukradkiem. „Wygląda na dwadzieścia pięć – uśmiechnął się pod nosem – a przecież ma dziesięcioletniego syna. Jak to możliwe?” – kąciki ust same uniosły mu się do góry. Na łagodnym zakręcie korytarza raz jeszcze zerknął na nią. Znikając zdążył zauważyć, że pani Natalia także zerknęła w jego kierunku.

Nazajutrz rano Miłosz spotkał się z nią i Marią Winiewiczową, żoną ambasadora. Przedstawił propozycję zwiedzania kilku atrakcyjnych miejsc stolicy – do wyboru: Kapitol, Muzeum Historii Naturalnej, Narodowe Muzeum Historii Amerykańskiej i Narodową Galerię Sztuki. Na następny dzień planował kolację w modnym klubie Cairo. Winiewiczowa знаła wymienione miejsca, więc podziękowała za turystyczną propozycję, ale zapowiedziała, iż z chęcią skorzysta z zaproszenia na kolację. Modzelewska też z radością zgodziła się na kolację, zaś co do zwiedzania zdecydowała się tylko na Kapitol i Narodową Galerię Sztuki, ponieważ resztę wolnego czasu chciała mieć do własnej dyspozycji.

Gdy oboje wyruszyli w kierunku wybranych obiektów, po drodze zatrzymywali się w nieskończonej ilości sklepów i sklepików. Pani Natalia zachwycona bogactwem towarów, zakupiła, z długiej listy, większą część prezentów dla rodziny i znajomych. Po wielogodzinnej peregrynacji zmęczeni usiedli w barze nad Potomakiem zamawiając sandwicze z colą. Pani Natalia narzekała na obolałe stopy, gdyż założyła pantofle na obcasie, musiała więc zrezygnować ze zwiedzania. Ponadto miała papierowe torby i pudełka z prezentami (Miłosz pomagał jej w dźwiganiu), co także utrudniało jej poruszanie się. Siedząc przy oknie z widokiem na rzekę rozmawiali jedząc i popijając zimną coca-colę. „Pierwsze wrażenie z ujrzenia kogoś jest istotne – myślał Miłosz zerkając na jej twarz – lecz dopiero pierwsza wymiana zdań precyzyjniej sytuuje rozmówcę na duchowej mapie; i często usytuowanie to jest sprzeczne z pierwszym wrażeniem. Ale w tym przypadku te dwa punkty widzenia są zbieżne”. Płynnie wypowiedziane zdania przez panią Natalię brzmiały w jego uszach niczym melodyjne frazy. Ona również była zauroczona Miłoszem, choć starała się tego nie okazywać (co czyniła mało konsekwentnie). Owszem zafascynowana była nim jako mężczyzną, ale bardziej jako zjawiskiem; osobowością, poetą i tłumaczem. Przed wyjazdem do Stanów



Zjednoczonych dowiedziała się, kto jest w Waszyngtonie attaché kulturalnym, więc przeczytała niemal całą jego twórczość. W końcu była absolwentką Instytutu Literackiego, ponadto niedawno rozpoczęła studia polonistyczne.

- Nie ukrywam, że tym mnie pani zaskoczyła, podziwiam... – stwierdził Miłosz, gdy usłyszał o jej studiach podjętych na Uniwersytecie Jagiellońskim. – Swoją drogą mówi pani świetnie po polsku, więc zadam naiwne pytanie: czy te studia są pani potrzebne?

- Chcę tłumaczyć na język polski naszą, to znaczy – poprawiła się – rosyjską literaturę i odwrotnie. Filologia polska jest do tego konieczna, choć przyznaję, trochę nauczyłam się języka polskiego w gorkowskim Instytucie Literackim. Jako twórca wie pan to dobrze, zresztą sam pan chyba kończył polonistykę... W Wilnie, jeśli się nie mylę? – zawałała się.

- Tu panią zaskoczę.

- Nie w Wilnie?

- Owszem w Wilnie, lecz nie polonistykę, choć należałem do koła polonistów.

- Jak to? – Była szczerze zdziwiona.

- Jestem absolwentem prawa.

- A to zaskoczenie. Ja – absolwentką wydziału tłumaczeń. Poza pracą translatorską trochę piszę.

- Miło słyszeć – ucieszył się.

- Zadebiutowałam w trzydziestym siódmym tłumaczeniem w prasie.

- Jak to możliwe? W wieku kilkunastu lat? – zażartował Miłosz.

- Miałam trochę więcej... – uśmiechnęła się przyjmując z zadowoleniem komplement.

- Moim marzeniem jest przetłumaczenie *Lalki* Prusa.

- To jedna z najlepszych polskich powieści. A przekłady to trudna i niewdzięczna praca.

- Owszem trudna, ale pasjonująca – rzekła w tonacji zaprzeczenia.

- Ja na przykład tłumacząc haruję jak wół, wysilam szare komórki chyba bardziej, niż przy pisaniu wierszy.

- Każdy tłumacz ma inne podejście do tekstu, każdy robi to inaczej. Ale jedna rzecz jest niezmienna; tłumaczenie musi być dobre. – Po chwili uzupełniła – I piękne.

- Ale czy wierne?

- Też. Chociaż nie zawsze... – zawałała się.

- Otóż to. Czasem tych rzeczy nie da się pogodzić. Zna pani powiedzenie Voltaire'a „Tłumaczenia są jak kobiety – piękne, albo wierne”.

Pani Natalia lekko się zarumieniła. Nastąpiła chwila ciszy. Miłosz zreflektował się, że w obecności pięknej kobiety przesadził z tym oklepanym wśród tłumaczy cytatem. Modzelewska z pewnością знаła tę paremię. Poczul się niezręcznie.

- Pana wiersze są... – zmieszana nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa – ...kapitalne – użyła wyrażenia, które podobało się jej, lecz teraz zdała sobie sprawę, że było nieadekwatne – ...są świetne – dodała – więc mam pytanie, czy nie myśli pan, że ta praca zabiera panu zbyt dużo czasu i energii na wiersze?

- Wciąż o tym myślę. Twórczość, tłumaczenia i praca zawodowa... Stosuję trójpolówkę, żeby się nie nudzić i nie zwariować – zaśmiał się głośno. – To kwestia higieny psychicznej.

- Trójpolówkę? Nie znam tego – powiedziała z naiwnością dziecka.

- To z historii, pole podzielone na trzy części, jedną część zasiewano na przykład ozimną, drugie zbożem jarym, a na trzecim kawałku rosła trawka dla krówek – mówił wesoło.

- Już wiem, trichpolnaja obrabotka. Faktycznie, to dobre porównanie. Teraz dopiero skojarzyłam, że też robię, to znaczy uprawiam – tak będzie lepiej? – trójpolówkę; tłumaczę, piszę opowiadania i... prowadzę dom – powiedziała z nutką autoironii.

- Mówi pani naprawdę świetnie – pochwalił ją. Nie wspomniał jednak o akcencie, bo wiedział, że się go szybko nie pozbędzie, o ile w ogóle go zniweluje.

Modzelewska promieniowała ze szczęścia.

- A udarie... – przerwała i natychmiast poprawiła się – Akcent mam dobry? – Jakby czytała w jego myślach.

- Udalenie u was oczień haroszije – uśmiechnął się zawadiacko i nagle stracił pewność, czy mówiąc po rosyjsku znowu nie przesadził, jak z powiedzeniem Voltere'a.

Modzelewską niespodziewanie ogarnął atak spazmatycznego śmiechu. Pokazując ładne zęby mimowolnie podnosiła głowę do góry, to znów opuszczała ją, i tak kilka razy, po chwili zaś złapała się za brzuch, zaś drugą rękę położyła na przedramieniu Miłosza, chcąc opanować wybuch wesołości. Nie potrafiła się jednak powstrzymać. On również się śmiał, lecz nie tak spontanicznie. Spojrzał na jej zaciśniętą dłoń i pogłodził ją delikatnie. Był rad, że pani Natalia tak dobrze przyjęła jego żart.

- Koniecznie muszę to powiedzieć mężowi – wciąż nie przestawała się śmiać.

- Proszę tego nie robić – uściśnęła mocniej jej dłoń.

- Ale to kapitalna anegdota.

- Pani Natalio, proszę... – wciąż trzymał jej dłoń zaciśniętą mocno na swoim przedramieniu, lecz nie wiedział czy w spazmie śmiechu miała tego świadomość.

- Mężowi powiem tak: twoja rodzina i wszyscy znajomi chwalać mnie za znakomity polski akcent, ale najbardziej pochwalił mnie znany polski poeta mówiąc, że udalenie u was oczień haroszije – i znowu wybuchnęła gromkim śmiechem.

Po opuszczeniu nadbrzeżnego baru poszli na spacer do pobliskiego parku przy starej odlewni żelaza. Rozmawiali o literaturze. Z etapu przeczucia przeszli na etap przekonania, że łączy ich więź intelektualna wzmocniona wzajemnym oczarowaniem. Nieprzerwanie dialogując stracili rachubę czasu. Dopiero gdy poczuli głód, postanowili wracać do ambasady, co czynili nieśpiesznie.

- Jutro kolacja z panią ambasadorką – przypomniała Modzelewska.

- Szkoda – Miłosz powiedział bez entuzjazmu.

- Nie rozumiem.

- Może to nie wypada, proszę mi wybaczyć, ale szkoda, że nie będziemy na kolacji we dwoje.

Kąciki ust uniosły się jej z zadowolenia

- Możemy poplotkować? – Zmieniła temat.

- Czekam na to z utęsknieniem – ucieszył się.

- Choć właściwie się nie znamy, ale... nie wiem dlaczego, ufam panu – rzekła infantylnie.

- Z wzajemnością – skłonił ku niej głowę.

- Trochę to nie wypada, co powiem... Więc... Bo pani Winiewiczowa wygląda na starszą od męża – krygowała się.

- Jeśli mamy poplotkować, to wypada. Pani Maria jest starsza o dwanaście lat.

- O Boże, to pół pokolenia – Modzelewska wyraziła głośnie zdziwienie. – Rozumiem, że mężczyzna jest dużo starszy, to się dość często zdarza, ale odwrotnie? Nie spotkałam się z tym.

- Też się zdarza. Miłość jest ślepa.

- Stop. Zachowujemy się, jak gimnaziści..., gimnazjaliści – poprawiła się. – Nie zdradzi mnie pan z tym?...

- Zdradzę – rzekł poważnym tonem, lecz oczy zaiskrzyły mu się filuternie.

- Jak to? – zdziwiła się. – Ja myślałam...

- Z żoną – wszedł w jej słowo. – „Chyba znowu przesadziłem” – pomyślał zaniepokojony skojarzeniem dotyczącym zdrady.

- Już się przestraszyłam.  
- Mieliśmy plotkować. Więc się cieszę, że to robimy i gadamy o duperelach – szybko zweeksłował temat rozmowy.

- Du-pe-re-lach? Kiedyś usłyszałam to słowo na ulicy, ale w słowniku go nie znalazłam, potem wyleciało mi z głowy. Co ono znaczy?

- Od takiego pospolitego słowa na „d”, dupe-rele. Po rosyjsku byłoby to... żoperele – w tym momencie roześmiał się po sztubacku.

Natalia szybko skojarzyła rosyjski neologizm i także parsknęła śmiechem. Oboje długo zanosili się śmiechem. Idąc parkową alejką wyglądali niczym para narzeczonych ciesząca się sobą i światem.

Zgodnie z propozycją Miłosza, nazajutrz wieczorem, on, Modzelewska i Winiewiczowa udali się na kolację do klubu Cairo. Czas spędzili na miłych niezobowiązujących pogawędkach o niczym. Gdy Winiewiczowa skoncentrowana była na konsumpcji lub gdy wychodziła do toalety, Miłosz i Modzelewska zerkali ku sobie uśmiechając się porozumiewawczo, jakby skrywali jakąś tajemnicę. I owszem, ową tajemnicą były łączące ich fluidy nie tylko intelektualnej więzi.

Do komórki UB znajdującej się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dotarła w październiku 1947 roku kopia raportu z Waszyngtonu z odręczną adnotacją dyrektora departamentu kontrwywiadu z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego: „Nie informować Ministra”. Źródło «Oset» donosiło m.in.: „Podczas wizyty w USA ministra Modzelewskiego z małżonką Natalią, gdy minister przebywał na sesji ONZ, attaché ds. kulturalnych ambasady ob. Czesław Miłosz, opiekował się p. ministrową w sensie zorganizowania jej czasu wolnego w trakcie pobytu. Ze swojego zadania wywiązywał się „gorliwie”, ponieważ dużo czasu spędzał z panią ministrową. Kilkakrotnie byli na długich spacerach, raz w Nowym Jorku, kilka razy w Waszyngtonie, cztery razy sami spożywali posiłki w barach, raz w modnej restauracji Cairo, gdzie była z nimi p. Maria Winiewiczowa, żona ambasadora. W ambasadzie, gdy tylko mieli taką okazję, siedzieli we dwoje na stołówce, albo w korytarzu, raz ponoć zamknęli się w apartamencie ministra, ale to nie jest pewne, bo informacja pochodzi z trzeciej ręki (od zaufanego portiera, który to słyszał od sprzątaczk, ale osoba ta nie jest w stu procentach wiarygodna)”.

Na kwadrans przed wyznaczonym na godzinę czternastą obiadem, przed willą Iwaszkiewiczów przy ulicy Gołębiej zajęchały niemal równocześnie dwie taksówki, z pierwszej wysiadła Natalia Modzelewska, z drugiej Czesław Miłosz. Gdy się rozpoznali, Miłosz wyciągnął ku niej ręce chcąc ją objąć, lecz szybko zreflektował się, że przekroczyłby dopuszczalną granicę savoir vivre'u. Przywitał się więc z nią po dżentelmeńsku całując podaną dłoń, po czym, gdy Modzelewska nadstawiła policzek, pocałował ją delikatnie. Widać było, że spotkanie po kilku latach ucieszyło ich. Jarosław i Maria Iwaszkiewiczowie słysząc silniki samochodów wyszli na zewnątrz domu, by przywitać ostatnich gości. W pokoju stołowym wszyscy zajęli wyznaczone miejsca przy dużym owalnym stole. Miłosz i Natalia zostali posadzeni obok siebie, mieli więc okazję nagadać się do woli, co czynili z dużym ukontentowaniem.

- Witam serdecznie miłych gości – przemówił gospodarz – a w szczególności witam Czesia Miłosza, który po kilku latach życia wśród obcych powrócił z szerokiego świata do swoich i, jak zdaje się twierdzić – tu mrugnął okiem – wszędzie jest dobrze, ale na Stawisku najlepiej.

Iwaszkiewicz zorientował się, że wyróżnienie przyjaciela mogłoby zostać źle odebrane, więc po kolei przywitał pozostałych gości, każdemu z nich mówiąc coś miłego. Podczas spożywania obiadu Miłosz i Modzelewska byli zaabsorbowani sobą nie zwracając

większej uwagi na resztę towarzystwa. Iwaszkiewicz dyskretnie ich obserwował. „Przecież oni otwarcie romansują – oburzył się w myślach. – Jak on może! W Ameryce została żona z małym dzieckiem...”. Fakt, Czesław i Natalia nie kryli się z wzajemną sympatią. Biła z nich pozytywna energia. Kazimierz Brandys również przyglądał się im z zainteresowaniem, lecz bez irytacji. „Byłaby z nich udana para gdyby nie to, że mają już swoje połówki – pomyślał melancholijnie, po czym spojrzawszy na rozpromienioną twarz pani Natalii skonstatował w duchu – ona jest wyraźnie oczarowana wdziękiem Czesia. Ależ ten szelma potrafi uwodzić kobiety... Zresztą on też uległ jej urokowi.”

Po zakończonym świątecznym obiedzie pierwsi opuścili Stawisko Miłosz z Modzelewską. Na polecenie Iwaszkiewicza Władysław Kuświk, służący i furman w jednej osobie, zawiózł ich bryczką na stację podmiejskiej kolejki w Podkowie Leśnej. Było zimno, więc w drodze zmarzli mimo, iż mieli koce na kolanach. W zimnym wagonie Modzelewska wsunęła rękę pod łokieć Miłosza, aby się ogrzać. Przez pół godziny jazdy, przytuleni, napawali się miłą rozmową. Ze stacji EKD Warszawa Śródmieście pojechali taksówką na ulicę Foksal do Kameralnej, która była otwarta w drugim dniu świąt, jako jedna z niewielu stołecznych restauracji.

- Tak pięknie rozpoczętego dnia nie możemy zbyt szybko zakończyć – stwierdził w taksówce Miłosz całując jej wiotką dłoń. Adoracja poety sprawiała Modzelewskiej ekscytującą przyjemność.

- I nie można go zmarnować – uzupełniła. – Nasze spotkanie po trzech latach należy uczcić lamką brandy.

- Chyba po roku, no może minęło półtora... – zauważył. – Przecież widzieliśmy się w ministerstwie w czterdziestym dziewiątym, gdy byłem na wakacjach, pamiętasz? Przepraszam, pamięta pani?

- To się nie liczy, bo widzieliśmy się oficjalnie i przelotnie – powiedziała z udawanym dąsem.

- Zgadza się. Anulujemy więc tamto oficjalne spotkanie – zaśmiał się. – Im dłuższa przerwa, tym większa przyjemność obcowania – powiedział bez namysłu i ugryzł się w język po wypowiedzeniu ostatniego słowa, które zabrzmiało dwuznacznie. – ...Tym większa przyjemność przebywania – poprawił się i ponownie pocałował ją w dłoń.

- Przebywania z kimś, z kim ma się dobre porozumienie – uzupełniła bezosobowo.

- Dobrze i całkowite – uzupełnił.

- Wystarczy dobre. Całkowitego szczęścia, to znaczy porozumienia – poprawiła pomyłkę – nigdy się nie osiągnie.

- Dla mnie całkowitym szczęściem jest, jeśli mam do czynienia z pięknem połączonym z mądrością – w tej sekundzie Miłosz pocałował ją w policzek.

W Kameralnej usiedli przy małym stoliku w kącie, zamawiając po lampce armeńskiej brandy. Z zapałem omawiali najnowszy film *Miasto nieujarzmione*, do którego Miłosz z Andrzejewskim napisali scenariusz. Modzelewska z zaskoczeniem przyjęła informację, że Miłosz był współautorem scenariusza, a następnie wycofał swoje nazwisko. Gdy tłumaczył jej powody swojego kroku, ktoś niespodziewanie do nich pomachał. Okazało się, że przyjechali tu również Brandysowie z Zygmuntem Mycielskim. Na szczęście przeszli do innej części sali.

- A to niespodzianka – zauważyła skonfundowana Modzelewska.

- Widocznie Jarosław dał za mało alkoholu – zażartował Miłosz.

- Zepsuli mi nastrój. A tak miło zapowiadał się wieczór – była niepokieszona.

Miłoszowi także zrobiło się przykro, że ich spotkanie tête a tête jeszcze się dobrze nie rozpoczęło, a już się skończyło.

- Na pewno jeszcze znajdzie się okazja, żebyśmy mogli ten nastrój odbudować.

Oboje wsiedli do taksówki stojącej przed restauracją i ruszyli na ulicę Koszykową. Po zatrzymaniu się samochodu między aleją Róż i Przyjaciół, Miłosz na pożegnanie pocałował

Modzelewską w policzek. Trwało to na tyle długo, że mu pozwoliła musnąć usta. W odpowiedzi na jej gest chciał je przycisnąć mocniej, lecz w tym momencie odsunęła się i wysiadła. „Jak każda piękność, najpierw prowokuje, a potem porzuca rozwibrowanego faceta zabierając z sobą tajemnicę triumfu wierności, albo... gorycz rezygnacji” – pomyślał poirytowany. Przez szybę odprowadzał ją wzrokiem mając nadzieję, że się odwróci, lecz ministrowa nie obejrzawszy się, zniknęła w bramie rządowej kamienicy. Taksówkarza poprosił o kurs na ulicę Polną 40.

Lekko wstawiony wbiegł ochoczo po schodach i zatrzymał się przed drzwiami, zza których dobiegały go dźwięki atonalnej muzyki Lutosławskiego. „Czy dobrze robię? – zastanawiał się. – Stempowski odnosi się do mnie z rezerwą, ale ona? Czy mnie lubi? A może tylko toleruje? Ceni moją poezję, a ja chylę czoła przed jej mądrością i wielkością. Tak, jest wielka na tej krajowej mieliźnie. Powszechnie uważana za najlepszą pisarkę, choć jest staromodna, ale jednak znakomita. Niektórzy mówią, że ja jestem jednym z najlepszych współczesnych poetów. Czy raczej wierszokletów? Co ja bredzę, chyba całkiem się upiłem. Tak, czy inaczej żądam..., pragnę..., chcę wzniesić świąteczny toast z najlepszym polskim piórem. Stop. Wejść, czy nie?”. Miłosz wyjął monetę i rzucił ją w górę, po czym złapał i położył na nasadzie dłoni, wypadł orzełek. Odczekał chwilę, wyrównał oddech i zapukał do mieszkania Marii Dąbrowskiej.

Pisarka nie była szczęśliwa z powodu nieoczekiwanej wizyty podchmielonego poety. Na powitanie uściśnął jej dłoń, ucałował gładkie policzki i powiedział miłe słowa o jej dobrym wyglądzie. Po okazanych uprzejmościach niemal od ręki przeminął jej zły nastrój. Nie mogła się sama sobie nadziwić, jak podatna jest na dotyk przystojnego mężczyzny i łasa na niewyszukane komplementy. Dąbrowska lubiła młodych ludzi, od których promieniowała żywotność i nadzieja. Stanisław Stempowski, jej wieloletni partner, po przywitaniu się z gościem przeprosił go i od razu skrył się w swoim pokoju. W salonie na stole stało jeszcze świąteczne jedzenie. Miłosz zaproszony do poczęstunku chętnie skorzystał z okazji, był głodny jak wilk, ponieważ w Kameralnej nie zdążył nic zjeść.

- Ostatnio byłem u pani w czterdziestym piątym, szmat czasu – mówił zajadając ze smakiem pasztet z gęsi i popijając bułgarskim winem.

- Posunęłam się o tych parę latek – stwierdziła bez przekonania oczekując zaprzeczenia.

- Pani Mario, naprawdę świetnie pani wygląda – powtórzył komplement sprzed paru minut. – To ja się postarzałem... – przełknął kęs pasztetu i po chwili dodał – przede wszystkim duchowo, psychicznie.

- Jest pan wciąż młody, przetrzyma pan ten fatalny czas, który nas, tu żyjących, smaga dotkliwiej, niż was, żyjących w wolnym świecie.

- Proszę mi wierzyć, jest mi także ciężko. Męcę się w tych zawiłościach podstępów, udawanej szczerości i wymuszonego oddania. Męcę się w utrzymaniu balansu między sumieniem a słusnością doktryny. Wie pani, że nie jestem wyznawcą nowej wiary, żyję wbrew sobie, służę bez przekonania wśród bojowników wdrażających nowy ustrój, którego zasady zostały przyniesione nie z tej strony świata, z której spodziewali się rodacy, zresztą pani to zna lepiej ode mnie.

- Nie namawiam pana do zerwania z tym wszystkim.

- Żona mnie namawia.

- Zna pan chyba mój pogląd w tej mierze; twórca powinien trwać z innymi w kraju z całym, że tak powiem, dobrodziejstwem inwentarza, by wspólnie z innymi nosić brzemia. W czasie wojny i okupacji pan tu też był. Wytrwaliśmy, choć było gorzej, niż teraz. Ci, którzy w tym strasznym okresie przebywali na Zachodzie nie mają pojęcia, co tu się działo... – powiedziała z goryczą.

- Żona nie chce wracać. Jest w ósmym miesiącu ciąży, została z trzyletnim synem.

- Tego doświadczenia nie znam, ale w pełni pana rozumiem.
- Teraz jestem na placówce w Paryżu.
- Słyszałam. A pani Janina?
- Została w Stanach. Ściągnę ją do Europy.
- Kiedy pan wyjeżdża? – zaciekała się.
- Na początku stycznia. Załatwię tylko kilka spraw.

Było już późno. Miłosz pożegnał się z nią uprzejmie i wyszedł. Chciał jeszcze porozmawiać, ale czuł, że rozmowa nie kleiła się. Zresztą zawsze, kiedy ją odwiedzał, nie potrafił nawiązać z Dąbrowską pełnego porozumienia. Nie wiedział co było tego przyczyną, przecież zgadzali się w większości spraw, a różnica wieku raczej nie odgrywała dużej roli. Odrzucał przykrą myśl, że mogła go nie lubić. Chociaż kto wie? A może powodem braku sympatii była jego praca w służbie reżimu? „Bo czym innym jest publikowanie przez pisarza książek przez rządowe wydawnictwa, gdy innych właściwie nie ma – myślał samokrytycznie schodząc po schodach – a czym innym oddanie się w pacht niechcianej władzy i wykonywanie jej poleceń wbrew własnemu sumieniu”.

Stanisław Stempowski, słysząc zamykane drzwi, wyszedł ze swojego pokoju.

- Poszedł – bardziej oznajmił, niż zapytał.
- Nie wiem, po co on do mnie przychodzi. – Dziwiła się. – Przecież tak obcych sobie ludzi, jak on i ja, chyba nie ma na świecie.
- Nie zgadzam się, Maryjko. Oboje macie zbieżne poglądy na wiele spraw, podobnie widzicie rzeczywistość... No i on także ma talent.
- Pozwól, że pozostanę przy swoim zdaniu – powiedziała stanowczo.
- Chciałem dokończyć. Różnica jest taka, że on żyjąc na Zachodzie wysługuje się czerwonej władzy, a ty żyjąc na Wschodzie nie jesteś służką tej władzy.
- Dzisiaj był jakiś taki... bardzo ożywiony – zamyśliła się. – I nie nudził się ze mną, jak zazwyczaj.
- Nie interesuje cię moje spostrzeżenie – zasmucił się.
- Stachno, twoja uwaga o różnicy jest trafna, nawet godna zapisania, natomiast sąd dotyczący zbieżności poglądów, wybaczą...
- Teraz ja pozostanę przy swoim zdaniu.
- On mnie niepokoi, a dzisiaj jakoś szczególnie, mimo iż był taki zadowolony. Mam dziwne przeczucie, że coś z nim jest, albo będzie coś nie tak... Intuicja zazwyczaj mnie nie myli.

W środę, dzień po świętach, Miłosz przyszedł z wizytą do Ireny i Tadeusza Krońskich. Nastawił się, że odbędzie z nimi frapującą dyskusję filozoficzną na tematy poruszane w korespondencji. Niestety z dyskusji nic nie wyszło. Po niespodziewanym pojawieniu się u nich Ryszarda Matuszewskiego, krytyka i poety, zresztą znajomego Czesława, trzech mężczyzn poszli na wino do restauracji „Dziedzilla” na rogu Wilczej i Marszałkowskiej (żona Krońskiego została w domu). Wina nie było, co w tym czasie stanowiło normę, ale była wódka, której nigdy i nigdzie pod tą szerokością geograficzną nie brakowało. Miłosz skomentował to na tyle głośno, że ubek stale urzędujący w knajpie nie musiał wysilać słuchu, by zanotować jego słowa. Trzej panowie „urzędowali” w restauracji jeszcze długo. Mimo uboższego menu dobre humory ich nie opuszczały, zaś Miłosz i Matuszewski reagowali na żarty Krońskiego niepomahowanymi wybuchami śmiechu.

Nazajutrz rano agent UB przekazał swój raport przełożonemu, który jeszcze tego samego dnia wysłał do pułkownika Antosiewicza ze swoim podsumowaniem: „Figurant w restauracji «Dziedzilla», ul. Marszałkowska, róg Wilczej, przebywając ze znajomymi – Kroński Tadeusz, filozof i Matuszewski Ryszard, literat – potwierdził swoje poglądy na temat

ojczyzny mówiąc, cytuję: «Nie mam ochoty do Polski wracać». Jest to kolejny dowód na to, jakie są jego prawdziwe intencje”.

## CZEŚĆ 2

Dwudziestego ósmego grudnia Miłosz został wezwany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych przez wiceministra Stanisława Skrzyszewskiego. Wchodząc do ponurego gmachu w alei Szucha nie miał złych przeczuc, ba, był pewny, że otrzyma szczegółowe instrukcje przed wyjazdem na placówkę do Paryża. Jednak po wejściu do gabinetu, gdy ujrzał chmurną twarz wiceministra (widział go pierwszy raz), nie miał już wątpliwości, że święci się coś niedobrego. W tej sekundzie przypomniał sobie słowa Lidii Kisielewskiej, że mogą go zatrzymać. Poczul, jak strużka potu spływa mu po plecach. Wyłupiaste oczy Skrzyszewskiego spoglądające zza grubych szkielek gdzieś przez niego, nie budziły zaufania. Wiceminister poprawił rogowe okulary i, wśród wielu urzędniczych formułek, wyrecytował najważniejszą: „Wyjazd poza granice Polski został obywatelowi cofnięty, a paszport zatrzymany do odwołania”. Miłosz poproszony został o zgłoszenie się do kadr w celu złożenia podania o zaległy urlop i oczekiwanie na przydzielenie nowego etatu. Po usłyszeniu tych słów w mgnieniu oka zrobiło mu się słabo, bez słowa pożegnania odwrócił się i wyszedł nie wstępując do kadr. Uszedł może sto metrów w stronę placu Unii Lubelskiej, po czym znalazłszy odśnieżoną ławkę, ciężko na niej usiadł. To, co się wydarzyło przed kilkoma minutami jeszcze w pełni do niego nie dotarło. Zakaz opuszczenia kraju był szokiem. Próbował się uspokoić, lecz nie był w stanie. Z wielkim trudem zaczął sobie uświadamiać jakie to będzie miało dla niego i rodziny konsekwencje. Najbardziej martwił się Janką, której pozostało kilka tygodni do porodu.

Uspokoiwszy się nieco pojechał do ZLP na Krakowskie Przedmieście do Putramenta. Wszedł energicznie do jego gabinetu. Po oschłym powitaniu i krótkim zreferowaniu swojej wizyty u wiceministra, zarzucił mu zdradę. Podniesionym głosem przypomniał mu, że od czterdziestego piątego roku wiązała ich dżentelmeńska umowa lojalności oparta na zasadach wzajemnego zaufania i tolerancji, którą teraz złamał. Sekretarz ZLP bronił się mówiąc, że z zatrzymaniem paszportu nie ma nic wspólnego, a źródła tej decyzji powinien szukać w MSZ-ecie. Miłosz oskarżył go o współudział w uknuciu przeciw niemu intrygi. W reakcji na te słowa, które go dotknęły, Putrament nie wytrzymał i zaczął nieprzyjemnie wrzeszczeć, że o niczym nie wie, bo jest już dawno poza tym bagnem dyplomacji. Obaj nie odpuszczali krzycząc na siebie, co sił w gardłach; Miłosz o złamaniu mu życia i że Putrament nie jest już jego kolegą, lecz cynicznym karierowiczem, ten zaś nazwał go rozhisteryzowaną babą nie potrafiącą nad sobą zapanować. Wreszcie Putrament wyprosił go ze swojego gabinetu mówiąc, żeby wrócił, jak się uspokoi. Miłosz krążył po korytarzu wściekły, niczym tygrys w klatce. Po pewnym czasie wrócił do jego pokoju przeprasząc za brak panowania nad sobą. Powołując się na starą znajomość, a nawet przyjaźń, prosił go, aby uruchomił wszystkie swoje znajomości i wpłynął na odwrócenie decyzji. Sekretarz ZLP pozostał niewzruszony mówiąc, że decyzja zapadła na wysokim szczeblu, a on – nawet gdyby chciał – nie będzie w stanie jej zmienić. Po tych słowach Miłosz nabrał przekonania, że kolega nie chce mu pomóc. Żegnając się, jakby wbrew sobie, podał mu rękę. Dłoń Putramenta była miękka, niemal śliska. W tym momencie przypomniał sobie ich uścisk rąk sprzed kilku dni, kiedy prawica Putramenta była podobnie miękka. Nabrał wtedy przekonania, że jeżeli ktoś zazwyczaj wita się lub żegna mocnym uściskiem, a po pewnym czasie, podaje niepewnie wiotką rękę, nie jest szczerzy. Żałował, że podał mu rękę. Był już pewien, że sekretarz ZLP maczał palce w intrydze. Opuścił gabinet trzaskając z całej siły drzwiami.

Będąc w siedzibie ZLP postanowił pójść do prezesa Leona Kruczkowskiego. Wiedział o nim, że jest ortodoksyjnym komunistą, jednak nie miał nic do stracenia. Ten tak zwany uczciwy komunist – uczciwy wobec partii i ustroju – nie dla ludzi w potrzebie, powiedział Miłoszowi wprost, że jeśli władza tak zdecydowała, to on nie będzie się w to mieszał. Po niespełna dziesięciominutowej rozmowie opuścił gabinet całkowicie przybity. Idąc Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem zobaczył dom partii. Przypomniał sobie, że pracuje w nim Paweł Hoffman na stanowisku kierownika wydziału kultury Komitetu Centralnego (wcześniej był redaktorem naczelnym „Kuźnicy”). Poznał go bliżej w 1949 roku w Nowym Jorku, gdy z ramienia ambasady opiekował się polską delegacją przybyłą na pokojową konferencję. Liczył na jego wsparcie. Po usłyszeniu mglistych obietnic przekazanych dygnitarskim językiem zrozumiał, że redaktor całkowicie „zdygnitarzał” i mu nie pomoże. W tym dniu Miłosz nie był już w stanie z kimkolwiek rozmawiać telefonicznie, ani tym bardziej umówić się na spotkanie. Zresztą czas był wyjątkowo niefortunny, zbliżał się koniec roku, wszyscy znajomi mieli zaprzątnięte głowy przygotowaniami do sylwestra w domach lub mieście. Jednak nie poddawał się. Nazajutrz, gdy trochę ochłonął, zadzwonił do Natalii Modzelewskiej. Dramatycznym głosem zrelacjonował jej sytuację. Nie liczył na pomoc, ponieważ jej mąż już od jakiegoś czasu nie kierował resortem (choć formalnie pozostawał ministrem), ponadto pamiętał jej zasadę nie proszenia męża o protekcję. Chciał jednak porozmawiać z życzliwą mu osobą. Pani Natalia dobrze wyczuła jego zły stan psychiczny i po zakończonej rozmowie poprosiła go, aby telefonował, gdy tylko będzie tego potrzebował. Miłosz chętnie korzystał z jej sugestii i codziennie prowadził z nią długie rozmowy.

Tego samego dnia, 29 grudnia, pojechał do dobrego znajomego Neli i Bolesława Micińskich, którzy byli spokrewnieni z Niną Andrycz, żoną premiera Cyrankiewicza. Wspólny znajomy zaoferował Miłoszowi protekcję premierowej. Mimo czynionych starań odpowiedź z jej strony nie nadeszła. Następnie udał się do Krońskiego, który znał Jadwigę Skierską, dawną przyjaciółkę Feliksa Dzierżyńskiego. Ale i w tym wypadku nadzieje pomocy okazały się płonne. Po wielu nieskutecznych usiłowaniach odwrócenia swego losu, poeta był zdruzgotany. Tego dnia nie miał nawet ochoty dzwonić do przychylniej mu Natalii Modzelewskiej. Jednak późnym wieczorem przemógł się. Pani Natalia, słysząc w słuchawce głos poety, przestraszyła się jego fatalnym stanem psychicznym. Nazajutrz spotkali się w kawiarni na Nowym Świecie.

- Gdzie pan spędza sylwestra? – Modzelewska próbowała odciągnąć go od spraw związanych z zakazem wyjazdu. Miała nadzieję, że niezobowiązujący temat pomoże mu choćby chwilowo zapomnieć o bieżących zgrzyotach.

- A pani? – Odwrócił pytanie nie chcąc odnosić się do kwestii, które w obecnym stanie były mu zupełnie obojętne.

- Ja? – Była zaskoczona. – W związku ze stanem zdrowia mojego męża nie planujemy wyjścia na jakikolwiek bal.

- Otrzymałem zaproszenie od Putramenta na bal rządowy, ale nie pójde tam, nie dam mu satysfakcji. Gdybym pojawił się i pił wódkę z tym oberliteratem i innymi podobnymi mu sztywniakami, oznaczałoby to jedno... – nagle przerwał, gdyż załamał mu się głos.

- Co by oznaczało?

- Że się poddałem, że przypieczętowałem swój los, że nałożyłem włosienicę i stałem się ich wasalem. Nigdy! – prawie krzyknął, aż się zreflektował, że przesadził.

- Czyli... przywitamy Nowy Rok w swoich domach.

- Wolę spędzić go z wyrzutkami i trędowatymi, takimi jak ja – użalał się.

- Jakimi trędowatymi? – nie rozumiała.

- Pisarzami na marginesie, których władza... – tu zawahał się, bo uprzytomnił sobie, że rozmawia z żoną ważnego polityka, jednak w ułamku sekundy zdecydował, że ma już dość



poprawności politycznej – ...których władza ma w tyłku – dokończył. – Pójdę do Jasia Parandowskiego, będzie tam też Olek Wat, razem zapijemy swój los, będziemy rozważać marność żywota, a ja będę popadał w czarną rozpacz.

- Proszę tego nie robić – zaprotestowała poważnym głosem.

- A właśnie że będę – odrzekł przekornie.

- Panie Czesławie, to nie jest najlepszy sposób na leczenie ran.

- A właśnie, że jest – przekomarzał się.

Modzelewska ujęła jego dłoń i mocno ścisnęła.

- Nie – sprzeciwiła się.

- Tak – odpowiedział. Pocałowawszy ją w rękę wyciszył się, po czym zwrócił się do niej uprzejmie – Pani Natalio, proszę mi szczerze powiedzieć, czy mąż mógłby coś uczynić, aby odwołać decyzję Skrzyszewskiego?

- Nie chcę czynić panu zbędnych nadziei, więc powiem wprost: nie. Stosunki między nimi były już od dawna złe, gdyby więc mąż spróbował teraz u niego interweniować, osiągnąłby odwrotny skutek.

Miłosz oparł głowę na lewej ręce i głęboko westchnął. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Gdy się rozstawali, Modzelewska ponownie zaproponowała, aby dzwonił do niej.

- To nie ma sensu – powiedział na pożegnanie.

W wieczór sylwestrowy pierwsza zatelefonowała pani Natalia. Rozmawiali z sobą długo, lecz nie poprawiło to jego samopoczucia. Obiecał jej tylko, że podczas spotkania u Parandowskich nie upije się, ale i nie doczeka Nowego Roku, bo będzie chrapał w wygodnym fotelu gospodarza. Dzień pierwszego stycznia przeżył z bólem głowy, z nikim nie rozmawiał. Następnego dnia wieczorem zdecydował się zatelefonować do niej. Pani Natalia starała się poprawić mu nastrój, jednak nie potrafiła mu pomóc; dialog toczył się opornie, poeta był w stanie kryzysu nerwowego. Minęło kilka dni stycznia 1951 roku, podczas których Miłosz wciąż szukał wpływowych osób, które mogłyby spowodować cofnięcie negatywnej decyzji MSZ-u. Bezskutecznie. Bez wiary w odmianę losu znowu zatelefonował do Modzelewskiej, która po usłyszeniu go nie miała żadnych wątpliwości, iż poeta w każdej chwili może ulec załamaniu, ponieważ jego odporność psychiczna wyczerpała się. Tym razem nie próbowała go pocieszać, pożegnali się uprzejmie, umawiając się na rozmowę telefoniczną nazajutrz. Pani Natalia postanowiła go ratować.

- Jak przedstawia się akcja „Wieszcz”? – major Mieczysław Różycki zwrócił się do porucznika Śliwy. – Aha – coś sobie przypomniał – czy jest ktoś z piątego Departamentu Społeczno-Politycznego?

- Ja jestem, kapitan Irena Taube. – Odezwała się kobieta z dużym kokiem. – Przy okazji, jeśli można towarzyszu – spojrzała przenikliwie na majora – towarzyszka dyrektor Bristigerowa prosiła przypomnieć, że akcję „Wieszcz” ma przejąć nasz departament społeczno-polityczny.

- Babskie gadanie – burknął z niechęcią major. – Jak będzie oficjalna decyzja, to tak. A na razie sprawę prowadzi departament kontrwywiadu, konkretnie wydział obserwacji – stwierdził apodyktycznie Różycki.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Mam referować? – zapytał niepewnie porucznik Śliwa.

- Nie. Macie się brandzłować... – zdenerwował się major. – Do roboty, towarzyszu, na co czekacie, mamy jeszcze do omówienia inne sprawy.

Irena Taube chciała zaprotestować przeciw słownictwu majora, ale po krótkim namyśle poniechała tego widząc, że była jedyną kobietą w pomieszczeniu, poza tym zdawała sobie sprawę, że nie miałyby żadnych szans z chamskim majorem.

- Tego oczywiście nie stenografujcie, towarzyszeko – zwrócił się do zaczerwienionej protokolantki.

- A może jednak zapiszcie to? – wykorzystała sytuację Taube.

- Towaryszko Ireno... – zdziwił się major.

- Słowo padło, prawda? – triumfowała.

- Towaryszko, proszę – powiedział grzecznie Różycki.

- Chyba, że usłyszę słowo przeproszenia – wycofała się po męczącej pauzie.

- Przepraszam – rzekł bez wahania.

- Dnia 28 grudnia wiceminister Skrzyszewski wezwał do siebie figuranta – zaczął pośpiesznie referować sprawę porucznik Śliwa, aby odwrócić uwagę zebranych od zmieszanego majora – i zakomunikował mu decyzję o cofnięciu etatu sekretarza do spraw kulturalnych w ambasadzie we Francji i zatrzymaniu paszportu.

- Został zwolniony z pracy? – zapytał cicho porucznika młody stażysta.

- Na razie nie – odpowiedział porucznik. – Pozostaje w dyspozycji kadr w oczekiwaniu na nowy etat.

- Interesują mnie bardziej sprawy obserwacji, ponieważ figurant, jako potencjalny wróg ustroju, może próbować opuścić granice kraju – stwierdził major.

- Podlega stałej obserwacji bezpośredniej, kontroli korespondencji i nasłuchowi. Po otrzymaniu decyzji o zakazie wyjazdu za granicę spotykał się z wieloma ważnymi obywatelami, aby wpłynęły na cofnięcie decyzji wiceministra. Szczegółowy wykaz tych osób i streszczenie rozmów mam w raporcie – pokazał dłonią na teczkę leżącą przed nim.

- Jakież przykłady? – zapytała kapitan Taube.

- W dniu zakomunikowania mu decyzji rozmawiał z Sekretarzem Generalnym ZLP Jerzym Putramentem, który odmówił mu pomocy, a gdy figurant wszczął awanturę grożąc mu bliżej nie określonymi konsekwencjami, wyprosił go z gabinetu. Informację tę posiadamy z pierwszej ręki.

- Inne przykłady? – ponaglał go major.

- Wszystkie osoby, do których się zwrócił i które mogłyby mu teoretycznie pomóc, odmówiły. Jako ciekawostkę podam, że figurant dotarł nawet, oczywiście przez pośredników, do pani premierowej Andryczowej.

- Co jeszcze?

- Komunikuje się często z panią ministrową Modzelewską telefonicznie i osobiście. Prawdopodobnie przez nią szuka dojścia do jej męża.

- Może sobie szukać – kapitan Taube powiedziała ironicznie tonem osoby dobrze poinformowanej. – Modzelewski został odsunięty od kierowania resortem i nic nie może.

- Czas to pokaże, towarzyszeko – zauważył major Różycki. – Na tym odcinku wykażcie czujność, poruczniku. Towarysz Modzelewski formalnie wciąż jest ministrem i jest dobrze notowany w najwyższych kręgach.

- De facto nie jest ministrem, wszyscy to wiedzą, towarzyszeko majorze. Odwołanie go jest kwestią czasu – nie dawała za wygraną kapitan Taube. – Niedługo zostanie przesunięty na odcinek nauki... – popisała się poufnymi informacjami.

- Jakież zagrożenia? – zmienił temat prowadzący zebranie.

- Z analizy posiadanych informacji wynika, że zagrożeń nie ma. Z nasłuchu telefonicznego wiemy, że figurant jest załamany psychicznie, prawdopodobnie w depresji. Trochę popija, chyba w celu poprawy nastroju. Wobec istniejących okoliczności nie jest w stanie próbować opuścić granic kraju w sposób bezprawny, nie ma zresztą takich możliwości.

- Bacznie obserwujcie jego relacje z obywatelką Modzelewską.

- Ona powiedziała mu wprost, że nie pomoże. Ale... zastanawiam się – mówił porucznik – skoro figurant usłyszał jej odmowę, to zagadką pozostaje fakt, dlaczego oni wciąż się spotykają i bez przerwy godzinami toczą rozmowy telefoniczne?

- Znają się od czasu, gdy spotkali się w czterdziestym siódmym w USA... Łączy ich pewna zażyłość... – stwierdził major Różycki.

- „Delegat” w swoim opracowaniu idzie nawet dalej pisząc, że romansują – stwierdziła kapitan Taube.

- Przypuszczam, że w tym punkcie „Delegat” miesza fakty z własnymi domysłami. Proszę pamiętać, towarzyszeko, że należy z dużą ostrożnością podchodzić do wiadomości dostarczanych przez nieprofesjonalnych informatorów, jeżeli dotyczą one spraw, w których tenże informator ma jakąś relację osobistą z figurantem. Krótko mówiąc takie informacje trzeba weryfikować u innych źródeł osobowych – stwierdził pouczającym tonem major.

- „Delegat” to kto? – zapytał porucznika stażysta nie znający wszystkich niuansów sprawy.

- Jerzy Putrament – szepnął mu do ucha Śliwa. – Z ambasadora został zdegradowany do sekretarza w ZLP, ale wciąż jest wpływową figurą.

- To on jest naszym tajnym informatorem? – zdziwił się.

- Skądże. Współpracuje z nami jawnie podrzucając czasem ciekawe wypracowania. Jest oddanym partii towarzyszem informującym o pewnych sprawach i inicjującym różne pomysły.

Natalia Modzelewska zdecydowała się porozmawiać z mężem, wbrew ustalonej z nim zasadzie, że nie będzie dla znajomych, ani rodziny orędowniczką w sprawach będących w jego gestii. Nazajutrz przedstawiła mu sytuację Miłosza, który znajdował się na granicy załamania nerwowego. Wysłuchawszy jej z uwagą stwierdził, że musi z nim porozmawiać osobiście. Jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem, poeta pojawił się w ich mieszkaniu. Był usztywniony. Gdy jednak gospodarz nawiązał do ich ostatniego spotkania w Ameryce, Miłosz poczuł się swobodniej. Przy dobrej angielskiej herbacie i ciastkach z cukierni Strzałkowskiego, przedstawił zdarzenia z ostatnich tygodni nadmieniając o żonie w ciąży. Podkreślił przy tym, że zawsze był lojalny w stosunku do przełożonych i Polski, choć nieraz w prywatnych rozmowach bywał krytyczny wobec niektórych posunięć władzy.

- Niczego nie chcę obiecywać – powiedział na pożegnanie Zygmunt Modzelewski – ale może spróbuję z kimś porozmawiać.

Rozmowa obu mężczyzn trwała długo, ponieważ minister chciał poznać szczegóły sprawy. Miłosz żegnając się nabrał otuchy, choć jeszcze nie nadziei, że wszystko ułoży się dobrze. Wracając tramwajem wymyślił sobie ad hoc teorię, że jeśli dwoje dobrych ludzi chce mu pomóc, wówczas ich pomnożona życzliwość przeradza się w synergetyczną siłę, która powinna przynieść dobre owoce. Tego dnia opuściły go depresyjne myśli i zaczął wierzyć, że sprawy przybiorą korzystny obrót.

- Jego bolesne doświadczenia i stan psychiczny przekonały mnie, że zasługuje na pomoc – powiedział Modzelewski z głębokim przekonaniem, gdy gość opuścił mieszkanie.

- Jego żona też. Za dwa, trzy tygodnie będzie rodzic – uzupełniła Modzelewska.

- Tak... – zamyślił się.

- Trzeba go ratować i nie dopuścić do najgorszego – martwiła się. – Dodatkowym atutem przemawiającym na jego korzyść jest jego renoma jako poety za granicą. Sama Dąbrowska uważa go za wybitnego twórcę.

- Ale pamiętam, Natuś, jak niedawno mówiłaś, że ona nie przepada za nim – przypomniał sobie.

- Nigdy nie powiedziała mi tego wprost, ale z jej słów wywnioskowałam, że ma do niego pewien dystans. Tym bardziej jej sąd o poezji Czesława... – zrobiła krótką przerwę, po czym uzupełniła – ...Miłosza jest wiarygodny.

- Dla mnie liczy się przede wszystkim człowiek. Może uda mi się mu pomóc – zamyślił się pan Zygmunt.

- Masz jakiś konkretny pomysł? – zapytała wprost.

- Akurat pojutrze mam wyznaczone spotkanie z Bierutem w zaległych sprawach.

- On ci ufa, przecież dobrze się znacie jeszcze z czasów spółdzielczych – zachęcała go.

Natalia Modzelewska lubiła, jeśli miesiąc zaczynał się w poniedziałek, wówczas pozostałe dni tygodnia układały się logicznie, wtorek był wtóry, czwartek – czwarty, a piątek – piąty. Taki układ dni, występujący w roku dość rzadko, zwiastował, że przynajmniej jeden dzień będzie dla niej szczęśliwy. Piąty dzień stycznia 1951 roku przypadał akurat w piątek. Pani Natalia spojrzała na kartkę wrywanego kalendarza i uśmiechnęła się mimo, że była niespokojna. Oczekiwała w napięciu na przyjscie męża po wizycie u Prezydenta Rzeczypospolitej. Miał wrócić po południu. Zbliżał się już wieczór i wciąż go nie było. Gospoia po przygotowaniu kolacji została odesłana. Pani Natalia nie mogła sobie znaleźć miejsca. Siedząc na sofie słuchała w radio spokojnej sonaty fortepianowej, przy której usnęła. Modzelewski wszedł do domu cicho i zastał ją drzemiącą. Gdy obudził ją pocałunkiem, przestraszona drgnęła.

- Miałam koszmarny sen. Ciebie aresztowali, Miłosz uciekł przez zieloną granicę... – mówiła podekscytowana.

- A ty, Natuś?

- Ja? Pamiętałam, lecz już zapomniałam – powiedziała z dziecinnym urokiem.

- Ludzie tłumaczą sny na opak, co powinno oznaczać, że wydarzy się coś dobrego – uśmiechnął się do żony, która dopiero teraz całkiem się rozbudziła.

- Powiedz, mój drogi, jak wizyta?

- Bierut zgodził się na jego wyjazd.

Natalia ucałowała go i uścisnęła z całej siły.

- Uratowałeś człowieka – powiedziała głosem promieniującym ze szczęścia – Dzisiaj jest piątek, piąty dzień miesiąca i roku.

- Och, te twoje przesady... – rzekł pobłaźliwie.

Modzelewska wieczorem zadzwoniła do Miłosza. Słyszac jego grobowy głos zdecydowała się powiedzieć ogólnikowo, że sprawy toczą się w dobrym kierunku. Gdy zapytał ją o szczegóły, odrzekła, że woli o nich porozmawiac osobiście. Umówili się na następny dzień w kawiarni na placu Zbawiciela.

W lokalu zajęli miejsce na końcu sali.

- Wczoraj nastroiła mnie pani nadzieją, że aż boję się zapytać – przywitał ją Miłosz całując delikatnie w podaną miękko dłoń.

- Mąż przekonał Tomasza. Po niedzieli proszę zgłosić się do MSZ-tu po paszport.

- Niemożliwe? – wykrzyknął radośnie, a oczy mu natychmiast zwilgotniały.

- Niemożliwe to było jeszcze wczoraj do osiemnastej – starała się mówić spokojnie. – Mąż faktycznie dokonał rzeczy niemożliwej.

Miłosz zerwał się z krzesła, uklęknął przed nią i kilkakrotnie ucałował jej dłonie.

- Panie Czesławie, proszę natychmiast wstać, ludzie pomyślą, że pan mi się oświadcza.

Miłosz wstał i wrócił na swoje miejsce.

- Niech sobie myślą. Swoją drogą byłoby całkiem miło, gdyby tak pomyśleli – na jego twarzy zagościł filuterny uśmiech.

- Panie Czesławie! – zestrofowała go, choć jej słowa zabrzmiały niczym komplement.

- Za to, co państwo dla mnie zrobili, powinienem codziennie nosić panią na rękach, a pani męża wychwalać na wszystkich odpustach.

- To drugie zdanie z pewnością spodoba się mężowi. O noszeniu na rękach nie wspomnę... – spojrzała w jego rozradowane oczy i poczuła się nieswojo po ostatnich słowach.

- Jak mąż go przekonał? – Pytał akcentując każde słowo.

- Zapraszam pana do nas jutro po południu, bo dzisiaj mąż ma jakieś długie posiedzenie i przyjdzie zmęczony. Wszystkiego się pan dowie z pierwszej ręki.

Miłosz pojawił się w mieszkaniu Modzelewskich o godzinie piątej po południu. Był trochę stremowany, a na jego twarzy rysowała się nadzieja pomieszana z niepewnością.

- Wczoraj powiedziałam panu Czesławowi ogólnikowo – Natalia zwróciła się do męża pijącego herbatę – że jego sprawę załatwiłeś pomyślnie. Ale proszę cię, powiedz chociaż w skrócie, jak przedstawiała się wasza rozmowa.

Miłosz siedział na krawędzi krzesła, niczym uczeń podczas rozmowy z nauczycielem.

- Zwróciłem się do niego w takich mniej więcej słowach: „Towarzyszu Tomaszu – bo to jego ulubiony przedwojenny pseudonim – chociaż Czesław Miłosz pracuje w dyplomacji, nie jest dyplomatą. Jest pisarzem” – podkreśliłem. – „Dobrym?” – zapytał. „Jest bardzo dobrym i uznanym poetą”. „A czy Dąbrowska uważa go za dobrego twórcę?” – zapytał. Tu muszę wyjaśnić, że on szalenie ceni Dąbrowską, zresztą zetknął się z nią podczas pracy spółdzielczej w Lublinie. Na jego pytanie odpowiedziałem: „Pani Maria uważa go za wybitnego poetę”.

- Przesada – wtrącił się Miłosz.

- Ja tylko relacjonuję – rzekł Modzelewski. – Dodałem też, że utrzymują bliskie stosunki towarzyskie. Proszę mi wybaczyć tę niedyskrecję – pan Zygmunt skinął głową w kierunku Miłosza, ten zaś uśmiechnął się aprobująco. Modzelewski kontynuował – Bierut zastanawiał się dłuższą chwilę, jakby coś sobie przypominał, być może spotkanie z panią Marią w 1916 roku. Po czym dał mi znak dłonią, żebym mówił dalej. Tłumaczyłem mu więc, że większym pożytkiem dla kraju byłoby, jeśliby on chciał dobrowolnie współpracować z rządem. Jeżeli chce być koniecznie za granicą, zatrzymywanie go siłą nie ma sensu. Takie brutalne zatrzymanie w kraju człowieka, którego sława poetycka sięga daleko poza nasze granice, przyniosłoby Polsce wielką szkodę w oczach opinii międzynarodowej. Wtedy Bierut zapytał: „Czy ręczycie, towarzyszu, że on później wróci do kraju?” Odpowiedziałem, że wróci, ponieważ był przez pięć lat lojalnym pracownikiem na placówkach zagranicznych. „Ale nawet, gdyby nie miał wrócić – zastrzegłem – jestem głęboko przekonany że należy go wypuścić”. Na koniec powiedział: „Jeszcze dzisiaj zatelefonuję do towarzysza Bermana i polecę mu, aby spowodował odblokowanie paszportu”.

Miłosz serdecznie podziękował Modzelewskiemu i pożegnał się. Pani Natalia odprowadziła go do drzwi.

- Od razu wyślę do żony depeszę, że mogę wyjechać – rzekł uszczęśliwiony Miłosz.

- Dopóki nie przekroczy pan granicy, proszę nie kontaktować się z nikim z Zachodu – przestrzegła go. – Mimo, że sprawa jest załatwiona na najwyższym szczeblu, licho nie śpi.

- Ma pani rację – uświadomił sobie zagrożenia wynikające z życia w reżimie. – Ściskając na odchodne jej dłoń, zaproponował:

- Możemy spotkać się jutro?

- Z miłą chęcią – odpowiedziała ciepłym głosem.

- Towarzysze, mam nie najlepszą informację – przemówił major Mieczysław Różycki na posiedzeniu grupy operacyjnej zajmującej się akcją „Wieszcz”.

- Wiem – wyrwała się kapitan Irena Taube z departamentu Julii Bristigerowej. – Sprawa nie została przekazana naszemu departamentowi.

- Pozwólcie, towarzyszeko – major spojrział na nią z irytacją. – To, że nie jest przekazana, to pestka. I już nie zostanie przekazana. Jest ważniejsza wiadomość; prezydent Bierut osobiście odwołał decyzję wiceministra Skrzyszewskiego w sprawie zablokowania wyjazdu figuranta, który już odebrał paszport dyplomatyczny i w każdej chwili może wyjechać za granicę.

- W takim razie akcja zostaje zakończona? – zapytała Irena Taube.

- Dla was tak, nie dla nas. My musimy wykazywać się czujnością i wciąż śledzić wszystkie jego ruchy. Ścisłe kierownictwo naszego ministerstwa zastanawia się – mówię to nieoficjalnie, nie do protokołu – czy nasze służby mogą zezwolić mu na przekroczenie granicy.

- Czyli kontynuujemy obserwację? – zapytał niepewnie porucznik Śliwa.

- Oczywiście. Sytuacja w kraju jest trudna, reakcyjne siły wciąż są aktywne, dywersja i sabotaż są na porządku dziennym, propaganda imperialistyczna w eterze wzmacnia się, trwa wojna koreańska... – wyliczał jak nakręcony – partia każe nam zwierać szeregi, a tu obcy ideowo element zamiast siedzieć cicho na dupie w ojczyźnie i ciężko pracować, załatwił sobie wyjazd na Zachód. Towarzysze, coś mi tu nie gra – podniósł głos major.

- Decyzja zapadła na najwyższym szczeblu państwowym i partyjnym, towarzyszu... – zauważyła Irena Taube. – Chcecie podważać decyzję prezyde...

- Czy was ktoś pytał o zdanie, towarzyszeko? – przerwał jej brutalnie major. – Dla waszego departamentu sprawa jest zamknięta.

- Nie rozumiem? – zdziwiła się kapitan Irena.

- Dziękuję wam za obecność – pożegnał ją major.

- Dobrze – wstała od stołu oburzona. – Tylko żądam, aby to wszystko, słowo w słowo, zostało zaprotokołowane – zwróciła się do protokolantki. Zamykając za sobą drzwi rzuciła głośno – jutro zapoznam się z kopią protokołu.

- Pocałuj się w dupę, pomagierko krwawej Luny – powiedział cicho major, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi. – Słuchajcie – zwrócił się do obecnych; porucznika Śliwy, sierżanta Skiby, agenta-taksówkarza i stażysty – akcja oficjalnie jest zawieszona, ale wciąż trwa. Dalej wykonujemy czynności operacyjne, o których nikt, nawet w naszym departamencie, nie może wiedzieć, poza naszym wydziałem.

- Tak jest – powiedzieli równocześnie podwładni.

- Nie możemy dopuścić do przekroczenia granicy przez figuranta.

- My, jako urząd, czy nieznani sprawcy? – zapytał bojaźliwie porucznik Śliwa.

- Słuszne pytanie – pochwalił go Różycki. – Zastanawiamy się jeszcze nad tym, ale to nie wstrzymuje naszych działań. O podjętej decyzji powiadomię was.

- Jak ten gryziopiórek załatwił sobie cofnięcie decyzji? – zapytał stażysta siedzącego obok porucznika.

- Niech was głowa o to nie boli, młody człowieku – usłyszał go major. – My robimy swoją robotę. Dowodem na to, że sprawa nie jest zakończona jest fakt, że towarzysz Berman wezwał na jutro do siebie prezesa ZLP Leona Kruczkowskiego i kierownika wydziału KC Pawła Hoffmana, bo ma im coś ważnego do przekazania w sprawie figuranta. Umówił się także na rozmowę z ministrem Modzelewskim, aby dowiedzieć się szczegółów jego wizyty u prezydenta, co nam się przyda w pracy operacyjnej.

- Na ostatnim posiedzeniu była mowa, że figuranta mogą łączyć z panią ministrową jakieś więzy uczuciowe, że może coś między nimi było... i że w zasadzie dzięki niej uzyskał zgodę na wyjazd z kraju – stwierdził porucznik Śliwa.

- No i co w związku z tym? – zaciekał się major.

- Sugeruję, aby ten wątek akcji przekazać do sekcji „D”, która zajmuje się między innymi plotkami.

- Dezinformacja... – zamyślił się major. – Macie u mnie plus, towarzyszu Śliwa. Dobry pomysł. Widzicie żółtodzioby – przeniósł wzrok na stażystę i agenta-taksówkarza – trzeba być w pracy twórczym, jak porucznik. Bierzcie przykład.

Modzelewska i Miłosz spotkali się w kawiarni hotelu Europejskiego, gdzie zamówili ciastka kremowe i kawę.

- Wysłuchałem z uwagą pani męża i w dalszym ciągu nie mam pojęcia, w jaki sposób przekonał Bieruta.

- Swoim autorytetem i uczciwością – odpowiedziała bez chwili wahania.

- O właśnie, tego mi brakowało do skompletowania w głowie układanki.

- Bo dla takiego polityka logiczne argumenty to za mało, one nie przeważąłyby szali jego wewnętrznego przekonania, gdyby nie stał za nimi człowiek godny zaufania.

- Pięknie pani to ujęła – Miłosz spojrział na nią z uznaniem.

- Mąż zna od dawna Tomasza, nie używajmy nazwisk – zaproponowała cicho – i obaj mają do siebie zaufanie.

- Putrament, to znaczy Tyran – poprawił się – będzie zgrzytał ze złości zębami, że wymknąłem się z jego potrzasku.

- Dlaczego Tyran? – zacięła się.

- Tyranizował pracowników ambasady w Paryżu, poniżał ich... Nawet kiedyś pobił... – co za wstyd – ...swoją żonę.

- Obrzydliwiec. Teraz przypominam sobie, że przed ściągnięciem go do Warszawy, dotarły do moich uszu strzępy rozmów telefonicznych męża, z których wynikało, że w ambasadzie była jakaś ostra awantura, a poza tym miał problemy ze sprawami obyczajowymi.

- Nieciekawa figura. Ale sam poruszyłem temat, więc proponuję, abysmy go zamknęli.

- Zastanawiał się pan nad zerwaniem więzów z krajem? – Modzelewska zmieniła wątek rozmowy.

- Z krajem nigdy. Choć nieraz myślałem nad uwolnieniem się od służby dla rządu i pozostaniem na Zachodzie.

- O tym myślałam, nie wyraziłam się jasno.

- Decyzji jednak nie podjąłem. – Po chwili dodał cicho – Mówię to tylko pani, ponieważ pani, jak nikt inny, zaskarbiła sobie moje zaufanie – w tym momencie dotknął jej przedramienia.

- Panie Czesławie, niech pan czuje się wolny w wyborze i proszę rozstrzygnąć we własnym sumieniu, czy chce tam pozostać, czy mieć otwartą drogę powrotu do kraju.

- W tej chwili jestem pozytywnie oszołomiony odwróceniem się mojej karty i w ogóle nie myślę o innych sprawach.

- Wiem, że takie myśli prędzej, czy później pana nawiedzą. Jeśli zdecyduje się pan na „nie”, w co nie wierzę, proszę pamiętać, że ciąży na panu ważny obowiązek.

- Jaki? – zląkł się Miłosz.

- Żeby walczyć przeciw katowi Rosji – powiedziała cicho, lecz dobitnie, ujawniając po raz pierwszy przed nim swój stosunek do Stalina.

Poeta skinął głową i ucieszył się w duchu, że mają zbieżne poglądy w tej sprawie. Po spotkaniu odprowadził ją na postój taxi.

- Panie Czesławie, proszę na siebie uważać – powiedziała troskliwie, gdy wsiadała do taksówki.

- Obiecuję.

- Dopóki nie przekroczy pan granicy, proszę o ostrożność. Mój mąż ma wielu wrogów, odwołanie decyzji wiceministra – powiedziała mu do ucha – podrażniło ambicje kilku osób i wywołało duże zamieszanie w służbach.

- Dziękuję, bardzo pani dziękuję – chciał uścisnąć jej dłoń, lecz nie zdążył. Modzelewska zamknęła drzwi wozu i odjechała.

Miłosz od razu udał się na najbliższą pocztę, skąd wysłał telegram do Andrzeja, swojego brata, aby koniecznie przyjechał w sobotę lub najpóźniej w niedzielę. Chciał się nie tylko z nim zobaczyć przed wyjazdem z kraju, ale miał także dla niego poufne zadanie.

W czwartek, 11 stycznia, odwiedził Marię Dąbrowską w jej mieszkaniu. Chciał z nią spokojnie porozmawiać, ale okazało się, że akurat tego dnia pojawili się u niej także inni goście: pisarka, Anna Kowalska, jej szwagier, pilot RAF-u, Stefan Ostrowski (którego w tych dniach wypuszczono z więzienia), a na kolację miał przyjść z zapowiedzianą wizytą Wojciech Żukrowski. Anna rozmawiała ze szwagrem w pokoju pisarki, zaś Dąbrowska i Miłosz usiedli w jadalni. Miłosz wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paszport dyplomatyczny i uniósł go w górę w geście triumfu.

- A więc udało się – ucieszyła się. – Może pan wreszcie wyjechać i nie wracać, aż skończy się ta satrapia.

- Wątpię, czy się skończy za naszego życia – powiedział gorzko. Co do pozostania tam – wskazał ręką na zachód – nie jestem zdecydowany, czuję się jakbym stał u rozstaju dróg. Na razie o tym nie myślę, teraz chcę jak najszybciej spotkać się z rodziną. Po tym wszystkim, co przeżyłem, próbuję powrócić do normalnego życia, przedwczoraj na przykład podpisałem z PIW-em umowę na tłumaczenie *Otella*. Choć właściwie nie wiem, czy to ma sens... – ogarnęło go zwątpienie.

- Nie rozumiem. Trzeba cieszyć się wyzwaniem – próbowała natchnąć go optymizmem. – Ja z satysfakcją siedziałam kilka lat nad *Dziennikiem* Pepysa, teraz na nowo odkrywam Czechowa tłumacząc jego opowiadania, do czego nakłoniła mnie pani Natalia Modzelewska. Z początku podeszłam do nich jak pies do jeża, a teraz przyjemnie się nimi bawię, właśnie dzięki niej.

Miłosz ożywił się na dźwięk jej imienia.

- Wspominała o moich problemach? – Zapytał naiwnie.

- Pani Natalia jest dyskretną osobą, rozmawiamy wyłącznie o literaturze.

Miłosz zrozumiał, że niepotrzebnie zdradził się zażyłą znajomością z nią, więc teraz musiał uchylić rąbka tajemnicy, aby nie wzbudzać ewentualnych dwuznaczności.

- Panią Modzelewską z mężem poznałem w Stanach. W ostatnich tygodniach, gdy dostałem zakaz opuszczania kraju i byłem w najgorszym stanie psychicznym w moim życiu, dzięki jej szlachetności dotarłem do jej męża, który wstawił się za mną u Bieruta.

- Słyszałam o tym, ale – proszę mi wybaczyć – z plotek, które, jak przypuszczam, są celowo rozpowszechniane.

- Mogłem się tego spodziewać – po usłyszeniu tych słów Miłosz poczuł się zbity z tropu.

- Niech pan się tym nie przejmuje. Ten ustrój jest tak skonstruowany, że daje pożywkę najobrzydliwszym komerażom i innym podłym rzeczom.

- Będzie pani jutro na zebraniu ZLP? – zmienił natychmiast temat.

- Staram się uczestniczyć we wszystkich miłych i smutnych obrzędach, które mnie jakoś dotyczą, bo tu żyję. A ten obrzęd nazwano ohydny partyjnym językiem: plenum – rzekła z niesmakiem.

- Więc czekają nas dwa dni literackiej pańszczyzny, podczas której nasz ekonom, Putrament, będzie wygłaszał referat o stanie współczesnej literatury.



- A raczej będzie się wydzierał, dlaczego literaci nie realizują zadań socjalizmu w interesie klasy robotniczej i planu sześcioletniego w tym priwislieńskim kraju – zaśmiała się sarkastycznie Dąbrowska.

- I dlaczego w utworach jest tak mało tematyki produkcyjnej, która jest marzeniem każdego piszącego... – zaniósł się śmiechem Miłosz.

- ...każdego piszącego grafomana – dokończyła Anna Kowalska, która niepostrzeżenie stanęła w otwartych drzwiach jadalni i śmiała się głośno wspólnie z nimi.

Wychodząc wieczorem z bramy przy ulicy Polnej Miłosz zauważył, jak w pewnej odległości od domu stał czarny citroen 11 CV z niklowaną jodełką na osłonie chłodnicy. W bladym świetle latarni dostrzegł dwóch ubeków siedzących w samochodzie. Szybkim krokiem poszedł w kierunku ulicy Jaworzyńskiej i w ten sposób zgubił śledzących go funkcjonariuszy. Idąc Mokotowską zastanawiał się, czy on był obserwowany, Dąbrowska, czy też osoby ją odwiedzające. „W głowie się nie mieści – myślał zły – jak można śledzić uczciwych obywateli. A może chcą mnie zatrzymać przed odlotem do Paryża? – Przestraszył się. – Zaraz, zaraz, przecież oni obserwują zwolnionego z aresztu szwagra Anny, który przesiedział kilka miesięcy za to, że walczył o wolną Polskę w brytyjskim lotnictwie” – uspokoił się.

Plenum Związku Literatów Polskich trwało 12 i 13 stycznia. Pierwszy dzień był dla Czesława Miłosza kamieniem milowym na jego przyszłej drodze życiowej, co nie jest przesadnym stwierdzeniem. Jerzy Putrament odchrzyczał z trybuny swój dwugodzinny referat o stanie literatury, co w żartach przewidziała Maria Dąbrowska. Podczas jego wydzierania się i strofowania kolegów po piórze, Miłosz powziął decyzję, aby wreszcie skończyć z tym wszystkim i uciec, a jeśli będzie taka konieczność, nawet gotów jest złamać pióro, niż żyć w kraju jako dobrze płatny autor, z którym partyjny dygnitarz bawi się, jak kot z myszką. „I od tych swoich myszy wymaga, żeby tworzyły arcydzieła. Żeby wydymały się, udając lwy” – pomyślał wściekły. Drugi dzień obrad przebiegł w nieco znośniejszej atmosferze, bez połajanek ze strony partyjnych dygnitarzy, choć nie obyło się bez „zachęt” do wyjazdów w teren i odwiedzania zakładów pracy w celu zbierania materiałów do pisania literatury produkcyjnej.

W niedzielę, dzień po plenum ZLP, w wypełnionej po brzegi sali Teatru Narodowego odbył się poranek literacki, którego tematem była współczesna poezja i proza. Na scenie pojawiła się śmietanka twórców, którą stanowili m.in.: Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Borowski, Władysław Broniewski, Konstanty Ildefons Gałczyński, Zofia Nałkowska, Czesław Miłosz, Adam Ważyk i Kazimierz Wyka. Putrament nie występował ze swoimi utworami, ale był obecny. Miłosz postanowił nie czytać własnego wiersza, ponieważ czuł się poniżony dojmującymi doświadczeniami ostatnich dni, a przede wszystkim pracą w reżimowej dyplomacji, która odcisnęła na nim bolesne piętno zniewolenia. Mając zatem świadomość nienawiści człowieka upokorzonego, który musiał wziąć udział w zbiorowej inscenizacji ogłupiania i zarazem manipulowania widownią, wybrał własne tłumaczenie wiersza Vachela Lindsaya pt.: *Szymon Legree*, który jako właściciel niewolników był negatywnym bohaterem książki Harriet Beecher Stowe pt.: *Chata wuja Toma*. Był to najsensowniejszy wybór, jakiego dokonał, czego najlepszym dowodem była entuzjastyczna reakcja słuchaczy.

Po zakończonej imprezie Jakub Berman, któremu podlegała również polityka kulturalna, pozostał jeszcze w pierwszym rzędzie widowni, by zastanowić się nad paroma rzeczami. Kilka występów podobało mu się, ale największe wrażenie zrobił na nim Miłosz, mimo iż nie należał do jego ulubieńców. Putrament wyszedł z dalszego rzędu i przysiadł się do członka Politbiura.

- Na kongresie pokoju zwycięstwo wśród twórców odniósł Gałczyński, a tutaj najlepiej wypadł Miłosz, co muszę obiektywnie przyznać – powiedział odważnie Putrament.

- Fakt, publiczność przyjęła go najgoręcej – zgodził się z nim Berman. – Jest on nie tylko zdolnym twórcą, ale i poetyckim trybunem potrafiącym porwać tłumy. Toteż wielką szkodą dla państwa byłoby, gdybyśmy go stracili – zauważył ze smutkiem. – Po odblokowaniu paszportu, gdy za chwilę wyjedzie na Zachód, obawiam się, że może tam pozostać.

- Po dzisiejszym sukcesie zastanowi się i być może nie zdecyduje się uczynić tego kroku. Kontakt z czytelnikami, z żywą polszczyzną i publikacje w dużych nakładach mają dla każdego pisarza podstawowe znaczenie.

- Czyżby wasz partyjny instynkt, do tej pory mocno stojący na gruncie ideologicznych zasad, został osłabiony przez dzisiejsze wrażenia sceniczne? – nagle z miłego rozmówcy Berman zmienił się w aparatczyka.

- Ja tylko zastanawiam się... – zląkł się Putrament.

- Wrażliwość artysty musi być mocno osadzona na gruncie ideologii naszego ustroju, a jego osobista wolność nie może górować na duchem myśli stalinowskiej.

- Oczywiście, towarzyszu – rzekł służalczym tonem.

- Dla niego ważniejsza jest tak zwana wolność w zgniłym kapitalizmie, niż kontakt z czytelnikami i duże nakłady u nas.

- Tak jest – powiedział w wojskowym stylu. – Zresztą sam mu kiedyś tłumaczyłem, że wolność nie jest aż tak wielką wartością, że jest raczej atrybutem stanów zwierzęcych i tym samym zaprzeczeniem człowieczeństwa.

- Chyba przesadziliście, towarzyszu – zdumiał się jego teorią Berman.

Po zakończonym, około godziny czternastej, poranku literackim Miłosz był nie tylko usatysfakcjonowany właściwym wyborem utworu, dokonaną translacją i interpretacją, ale przede wszystkim znakomitym przyjęciem widowni. Otrzymał więcej braw, niż znakomici w swoim fachu majstrowie słowa, jak Broniewski i Gałczyński, którzy też wspaniale recytowali własne utwory. Pozostali twórcy, jak na przykład Nałkowska i Andrzejewski, byli przyjęci życzliwie, lecz nie wzbudziła zachwytu. (Zresztą na spotkaniach z czytelnikami proza nie mogła równać się z poezją, która – dobrze zaprezentowana – mogła wywołać eksplozję emocji wśród słuchaczy). Natomiast herold socrealizmu, Adam Ważyk, ze swoim wierszem *Piosenka o Coca-Cola* wypadł fatalnie dlatego, że sepleniąc nie był w stanie poprawnie recytować, po drugie – publiczność (mimo, że część została przywieziona autobusami), zawsze źle reagowała na krytykę Ameryki. Po zakończonym przez Ważyka dukaniu, klaskali mu wyłącznie organizatorzy spotkania i kilka osób z publiczności.

Andrzejewski podszedł do Miłosza i pogratulował mu sukcesu.

- Szkoda, że organizatorzy nie przygotowali wieńców laurowych, bo tobie się należy złoty – powiedział uprzejmie, choć w jego głosie pobrzmiwała nuta zazdrości.

- Ty także całkiem dobrze wypadłeś. Tobie wręczyłbym srebrny – zażartował Miłosz.

- Jesteś niesprawiedliwy – Andrzejewski nie wyczuł żartu kolegi. – Powiem ci szczerze, iż ten wymagowany złoty wieniec powinien zostać podzielony równo pomiędzy ciebie i mnie, bo obaj jesteśmy wybitni w dwóch różnych rodzajach twórczości – stwierdził z głębokim przekonaniem.

Miłosz spojrział na niego zdziwiony. Znał jego manię wielkości podszytą próżnością, lecz nie przypuszczał, że jest aż tak mało krytyczny wobec własnego pisarstwa. W tej sekundzie przypomniał sobie przypowieść o źdźble w oku bliźniego. „Przecież ja też nie jestem wolny od pychy...” – pomyślał samokrytycznie.

- Reakcja publiczności mile polechła moją próżność, z którą całe życie walczę, ale jednak widzę, że jej resztki wciąż we mnie drzemią – stwierdził Miłosz.

- Czesiu, w każdym drzemię. Choćbyś został mnichem, mnichem piszącym, nie wyzbędziesz się naturalnych uczuć. Próżność jest nieodłączna twórczości, a wszyscy skromnisie, którzy temu zaprzeczają, kłamią, a jeśli im się zdaje, że mówią szczerze, okłamują siebie.

- Nie jestem przekonany – zamyślił się Miłosz. – Zawsze podziwiałem cię za zdecydowane poglądy.

- Wstąpisz na małą czarną? – zaproponował uprzejmie Andrzejewski.

- Wybacz, Jurku, ale jutro odlatuję do Paryża, muszę pozałatwiać mnóstwo spraw, a nie jestem jeszcze spakowany – wykręcił się. Miłosz nie miał ochoty na pogaduszki z dawnym przyjacielem, który z sympatycznego człowieka stał się po wojnie piewą nowego ładu, a z katolika przechrzczył się na komunistę. Szczególnie żał mu było ich okupacyjnej przyjaźni, która – mimo okrutnego czasu – dała im tak wiele radości, zaś po wojnie przyjaźń tę Andrzejewski przekreślił swoim entuzjastycznym opowiedzeniem się za komunizmem. „Wczoraj podjąłem ważką decyzję zerwania z reżimem, a teraz miałbym pić kawkę z piewą tegoż reżimu, autorem paszkwilu na młodzież polską, *Popiołu i zamętu*, jak wszyscy mówią... Nie”.

Putrament wychodząc z teatru natknął się na pułkownika Antosiewicza, który był służbowo na poranku. Czekał na pisarza, aż opuści gmach.

- Słyszał pan najnowsze ploteczki, towarzyszu sekretarzu? – zagadnął go przymilnym tonem szef departamentu kontrwywiadu.

- Na jaki temat? – zainteresował się pisarz.

- Otóż pewien znany poeta, któremu zablokowano paszport dyplomatyczny, zakręcił się koło pięknej pani ministrowej. Ona mu się podobała, a on podobał się także jej... Prawdopodobnie coś między nimi musiało być, skoro ona namówiła w jego sprawie męża. A ten, zaufany kolega Bieruta, przekonał go, aby spowodował oddanie pocie paszportu.

- Już krąży po stolicy ta sympatyczna ploteczka? – uśmiechnął się lisio Putrament.

- Niedługo będzie krążyć nie tylko po stolicy.

- Ja przedstawiłem wam swoje luźne przypuszczenia, a wy rozdmuchujecie je przez megafony? Nie przesadziliście, towarzyszu? – uniósł brwi w geście udanego zakłopotania.

- Ani trochę. I nie przez megafony, ale wykorzystując szept. Największą siłę oddziaływania na lud ma propaganda szeptana. Plotki to szybko rozrastające się gałązki tego drzewa.

- Akurat w tej plotce jest sporo ziaren prawdy – stwierdził pisarz.

- I na tym to polega. Nie ma nic skuteczniejszego w naszej robocie, jeśli zmiesza się kilka ziarenek prawdy z opowieścią fabularną. Ludzie to lubią.

- Przypominam, że akcja „Wieszcz” wciąż trwa. Prowadzona jest teraz półoficjalnie, czyli bez pisemnych śladów – przemówił do zebranych major Różycki. – Mamy ustną zgodę przełożonych na zablokowanie wyjazdu figuranta z kraju.

- Są jakieś konkretne propozycje, towarzyszu majorze? – zapytał nieśmiało porucznik Śliwa.

- Właśnie od was oczekuję pomysłów. Mamy mało czasu, bo jutro wieczorem ma on z Okęcia samolot. No więc...

Po chwili ciszy odezwał się stażysta.

- Po prostu na lotnisku, podczas odprawy paszportowej, niech oficer WOP odbierze mu paszport – zaproponował pewnym głosem.

- Sądziłem, że trochę myślicie, a wy jesteście głupi, jak kilo gwoździ, towarzyszu – zdenerwował się Różycki. – Przecież powiedziałem na początku, że działanie jest półoficjalne, nie zrozumieliście tego? I na dodatek każecie wciągać w to wojsko.

- Ja tylko proponowałem... – przestraszył się młody ubek.
- Zamknijcie japę i słuchajcie, co mówią starsi stopniem – major nie mógł opanować emocji. – Sierzancie Skiba, mówcie.
- Mam taki pomysł..., może by podpalić mieszkanie szwagierki, u której przebywa figurant? – powiedział niepewnie sierżant-taksówkarz.
- No, no... kontynuujcie – zachęcał go major.
- Normalnie, w nocy, gdy wszyscy będą twardo spać, oblać benzyną zewnętrzne drzwi wejściowe do mieszkanek i wycieraczkę. Część benzyny wleje się przez próg do przedpokoju. I wtedy zapalczką ciach... Buchnie ogień. Nasz agent musi się szybko zmyć. Z daleka trzeba obserwować, co robi figurant. Milicja i nasi obstawią blok, bo gdyby udało się za szybko ugasić pożar i mimo wszystko zamierzałyby pojechać na lotnisko, wtedy blokada milicyjna zatrzyma go i innych ludzi do przesłuchania, jako świadków.
- Nieźle, towarzyszu, jednak jest to zbyt radykalne rozwiązanie, bo padnie pytanie: dlaczego akurat tego dnia wybuchł pożar w tym mieszkaniu, a nie w innym? Poza tym ogień może rozprzestrzenić się, będą ofiary. Ale nie odrzucam pomysłu, będzie jako rezerwowo. Słucham dalej. Widzę, że porucznik Śliwa wyrywa się do odpowiedzi – zażartował prowadzący.
- Jeżeli mamy nie pozwolić „Wieszczowi” dostać się na lotnisko, to są na to trzy sposoby: pierwszy – uprowadzenie go, drugi – wypadek lub kolizja drogowa i trzeci – długa kontrola drogowa, która spowoduje, że się spóźni na odlot samolotu.
- To mi się zaczyna podobać – pochwalił go major Różycki.

W niedzielę po południu Miłosz odwiedził w mieszkaniu znajomą Michalinę Kalinowską, zwaną Frydą, z którą pracował w waszyngtońskiej ambasadzie. Przy cienkiej herbacie wspominali czasy współpracy w MSZ-ecie oraz w Ameryce. Fryda była jedną z nielicznych współpracownic, z którą miał dobry, a nawet serdeczny kontakt. Pożegnał się z nią czule mając świadomość, że się już z nią nie zobaczy. Następnie pojechał do hotelu Bristol, gdzie w narożnej kawiarni umówił się z Haliną Micińską, znajomą sprzed wojny. Powiedział jej, że zdecydował się pozostać z rodziną na Zachodzie i że wybierając wolność godzi się na zakończenie kariery literackiej, a więc na zapłacenie najwyższej ceny, którą będzie zerwanie kontaktu z żywym językiem, czytelnikami i publikacjami w Polsce.

Z Bristolu udał się na Polną pożegnać się z Marią Dąbrowską, której także chciał powiedzieć, że zrywa z reżimem. Zależało mu na ostatnim spotkaniu z pisarką uznawaną przez wielu za autorytet moralny narodu. Było już późno. Drzwi mieszkania pod numerem 31 otworzyła, niespodziewanie dla niego, Anna Kowalska, która z palcem na ustach poinformowała go, że Maryjka i Stanisław już śpią. Pani Anna mimo, że uczestniczyła w całodziennych męczących obradach związku literatów, nie była zmęczona. Z uwagą słuchała Miłosza opowiadającego z pasją o sobie i poezji. Trochę było jej smutno, że ani słowem nie zapytał o nią. Miłosz zawiedziony brakiem możliwości widzenia się z Dąbrowską, przelał swoje pożegnalne emocje na Annę; pocałował ją dwukrotnie w policzek mówiąc z niezwykłą delikatnością:

- Jestem szczęśliwy, że panią znam.
- Z wzajemnością – powiedziała usatysfakcjonowana. – Ale... pana słowa zabrzmiały, jakbyśmy się mieli widzieć ostatni raz.
- Jest już późno – wykręcił się od potwierdzenia jej spostrzeżenia. – Przepraszam za najście o tak późnej porze. Proszę uściśnąć ode mnie panią Marię i pozdrowić pana Stanisława.

Anna Kowalska zamknawszy za Miłoszem drzwi, czuła się szczęśliwa, lecz w takim znaczeniu, jak po obejrzeniu dobrej sztuki teatralnej. Choć była rozsądną osobą, to jednak uległa jego czarowi. Miłosz potrafił zakręcić kobietom w głowach. Przez resztę wieczoru i

cały następny dzień chodziła zamroczone, niczym nastolatka pomimo, iż głos rozsądku mówił jej, że nie ma mowy o żadnym uczuciu, ani nawet o przyjaźni, i że on nie zatroszczyłby się, czy ona żyje. Po powrocie do Wrocławia ochłonęła. Jedząc kolację we własnym domu z córką, Tulą, poczuła, że zdrowy rozsądek zwyciężył.

Wychodząc około północy z domu przy Polnej zauważył stojącego na ulicy czarnego citroena z dwoma osobami w środku. Wiedział już, że jest śledzony, ale nie przejął się tym. Wsiadł do taksówki stojącej na pobliskim postoju i pojechał na Pragę. Gdy przyjechał pod bramę Wileńskiej 39, ubecki citroen zatrzymał się około stu metrów przed nim. W mieszkaniu szwagierki, gdzie Miłosz pomieszkiwał, był już brat Andrzej, który niedawno przyjechał pociągiem z Żuław. Dziusek, jak nazywali go w rodzinie, czekał zmęczony i podenerwowany na starszego brata. Przy odgrzewanej zupie Czesław opowiedział mu o swoich perypetiach związanych z zabranieniem mu i odzyskaniem paszportu oraz o decyzji pozostania na Zachodzie. Wcześniej ani listownie, ani telefonicznie nie mógł mu o tym, z oczywistych względów, powiedzieć.

- Rozumiem teraz, dlaczego w tak nagłym trybie mnie ściągnąłeś – stwierdził uspokojony Andrzej. – Trochę wystraszyłeś mnie tą depeszą.

- Ale to jeszcze nie jest koniec sprawy – powiedział zafrasowany Czesław. – I dlatego, poza chęcią spotkania się z tobą, poprosiłem cię, abyś przyjechał.

- Co ty znowu szykujesz za niespodziankę, Czesiu?

- Mimo, że mam paszport i bilet, to ubecy mogą mnie próbować powstrzymać przed odlotem.

- Przecież jesteś dyplomatą, wyjeżdżasz legalnie – dziwił się Andrzej.

- Nie bądź naiwny, Dziusek, doskonale wiesz, w jakim kraju żyjemy. Ministrowa Modzelewska przestrzegła mnie, że przeciwnicy jej męża mogą chcieć się odegrać za to, co im zrobił, szczególnie wiceminister poczuł się upokorzony. A ja też jestem na ich czarnej liście. Dlatego mnie śledzą.

- Masz jakiś plan?

- Pomożesz mi? – zapytał Czesław.

- Głupie pytanie. Jasne.

- Będziesz moim sobowtórem, z daleka wyglądamy podobnie, przypadkowo mamy podobne płaszcze i kapelusze.

- Jestem trochę wyższy – zauważył Andrzej.

- Przygarbisz się. Od szesnastej robi się szarówka, więc widoczność będzie kiepska. Poza szwagierką nikt nie wie, że tu jesteś? – mówił niespokojny Czesław.

- Konkretnie o co chodzi?

- Jutro, dwie godziny przed wyjazdem z domu na lotnisko, pójdę na postój umówić dla siebie taksówkę. Żeby widzieli mnie agenci. Ale nie pojedę nią. Wrócę do mieszkania. O szesnastej zjedziesz ze swoją walizką i pojedziesz na Okęcie. Ale nie prosto na lotnisko, staraj się krążyć po mieście.

- Rozumiem. Wsiadam do tej taryfy, jako ty – stwierdził Andrzej.

- Owszem ty jako ja, ale nie do tej. Pojedziesz inną, którą umówiłem wczoraj. Pamiętaj, będzie to chevrolet. Jakiś czas po tobie pojedzie moja taksówka, którą pojedę, ale nie tą, którą umówię na pobliskim postoju.

- Czesiu, po co te komplikacje? Umawiasz taryfę, którą nie pojedziesz?

- Żeby ich dezorientować, kapujesz?

- Mam być wabikiem?

- Coś takiego. Ubecy w czarnej „cytrynie” będą cię śledzić. Jak zobaczysz ich za sobą, poproś kierowcę, żeby jechał szybciej, to mój znajomy, nie lubi ubeków. Zwóć ich jak

najdłużej. Na pewno was zatrzymają. Podczas legitymowania zobaczą twój dowód i się zdziwią. Ja w tym czasie będę już na odprawie paszportowej, a może po...

- Nie zaaresztują mnie? – Złakł się Andrzej.
- Nie mają podstaw.
- Czesiu, wiesz, w jakim kraju żyjemy? – przedrzeźnił go brat.
- Nie bądź złośliwy. Przeżyliśmy wojnę, dasz sobie radę.
- A na odprawie nie zawrócą cię?
- Wszystko jest możliwe, ale chyba nie odważą się. W końcu sam Bierut interweniował. Oni mogą tylko na ulicy zatrzymać mnie, czyli ciebie...
- Mnie, czyli ciebie... – jak w komedii pomyłek – zaśmiał się Andrzej.
- Mają prawo zatrzymać taryfiarza do kontroli dokumentów, nawet pasażera, sprawdzić sprawność techniczną wozu itp.
- O której lecisz?
- O dziewiętnastej trzydzieści.

Zgodnie z planem pod blok przy ulicy Wileńskiej 39 podjechała taksówka chevrolet, do której wsiadł z walizką Andrzej Miłosz i odjechał. Za nią, w odległości około dwustu metrów, pojechał czarny citroen. Po kwadransie z mieszkania wyszedł z bagażem Czesław Miłosz i odjechał „swoją” taksówką, którą umówił dzień wcześniej, gdy zamawiał taryfę dla brata. Zaś škoda, którą umówił na najbliższym postoju (wiedząc, że będzie nią jechał taksówkarz-agent UB), wciąż czekała. O umówionej godzinie škoda podjechała na Wileńską 39. Po upływie kwadransa, gdy Miłosz nie schodził, zniecierpliwiony ubek Skiba pobiegł do mieszkania szwagierki Miłosza (numer lokalu znał z UB), która – po natarczym dzwonku do drzwi – otworzyła mu informując, że szwagier pojechał jakiś czas temu taksówką na Dworzec Gdański.

- Przecież miał jechać na lotnisko – zbaraniał taksówkarz.
  - Nie powinno to pana interesować, gdzie pojechał. Jak mówię, że na Gdański, to mówię... Nie dociera? – łgała przekonująco Henryka Goszczyńska.
  - Na pewno?
  - Na sto procent.
- Taksówkarz-agent popruł na dworzec Gdański.

Taksówka, z Andrzejem Miłoszem w środku, szybko jechała ulicami Warszawy. Za nim jechała ubecka „cytryna” starając się nie stracić go z widoku. Po minięciu mostu Śląsko-Dąbrowskiego chevrolet krążył po Śródmieściu, następnie pojechał na Mokotów, potem na Dworzec Gdański i wrócił na Śródmieście. Ubecy w citroenie gonili wytrwale chevroleta, który świetnie dawał sobie radę na krętych ulicach, jak w zabawie kotka z myszką. Andrzej spojrzął na zegarek, mijała godzina jazdy, więc brat powinien już być po odprawie paszportowej. W tym momencie wjechali w aleję Żwirki i Wigury prowadzącą na Okęcie. Długa i prosta jezdnia pozwoliła szybszemu citroenowi dogonić taksówkę z Andrzejem Miłoszem. Po chwili ubecy wyprzedzili go, funkcjonariusz od strony pasażera wystawił przez opuszczoną szybę milicyjny lizak. Samochód grzecznie zjechał na pobocze. Agenci w pośpiechu wyskoczyli z wozu i pobiegli do pasażera taksówki, nie zwracając uwagi na taksówkarza.

- Dokumenty do kontroli – zażądał zdenerwowany ubek.
- Andrzej Miłosz przekazał im dowód osobisty.
- Po odczytaniu imienia i nazwiska funkcjonariusze długo zastanawiali się, co mają zrobić, ponieważ nie zgadzał się dokument (miał być paszport), zaś imię było inne, niż osoby ściganej.

- A gdzie paszport, obywatelu? – Zapytał groźnym tonem starszy ubek, prawdopodobnie dowódca.

- Jaki paszport? – zdziwił się Andrzej. – Nie mam żadnego paszportu.

- Czy pan to... pan?... – zastanawiał się nad sformułowaniem pytania.

- Zgadza się, ja to ja – nie dał mu dokończyć Andrzej Miłosz.

- Nie przerywać mi! – krzyknął starszy funkcjonariusz. – Czy pan, to Miłosz, poeta.

- Miłosz, ale nie poeta.

- A kto?

- Obywatel.

- Krewny Czesława?

- Krewny.

- Stopień pokrewieństwa?

- Brat.

- A gdzie jest brat obywatela? – tracił cierpliwość ubek.

- Skąd ja mogę wiedzieć, nie jestem jego opiekunem – grał na zwłokę Andrzej.

- Przyjechaliście do niego?

- Przyjechaliśmy – ironizował.

- Zastaliście go w domu i na pewno spotkaliście się.

- Nie. Przyjechałem niedawno. I go nie zastałem.

- Co powiedziała obywatelka Henryka Goszczyńska, jak spytaliście się ją o brata?

- Że gdzieś pojechał.

- Dokąd?

- Nie wiem. Jest dyplomata, więc dlaczego mnie pytacie? Pytajcie w MSZ-ecie.

- Nie pouczajcie nas, obywatelu, co mamy robić – dowódca spojrział rozkazująco na kolegę. – Młody, daj pyskatemu obywatelowi nauczkę za kpiny z władzy ludowej.

Młodszy ubek bez chwili zastanowienia uderzył pięścią w brzuch Andrzeja Miłosza, który zwinął się z bólu i osunął na kolana.

Starszy funkcjonariusz rzucił dowód osobisty pod nogi Miłosza. Obaj weszli do wozu i naradzali się, co robić, po czym połączyli się przez radiotelefon z majorem Różyckim, który kazał im natychmiast jechać na lotnisko, by zatrzymać „Wieszca”.

Czesław Miłosz po odprawie bagażowej podszedł do stanowiska Wojsk Ochrony Pogranicza i przez okienko podał żołnierzowi paszport dyplomatyczny. Wopista, po sprawdzeniu imienia i nazwiska na kilkustronicowej liście osób, poszedł z paszportem do pokoju swojego dowódcy. Mijały długie minuty. Miłosz denerwował się, choć starał się tego nie okazywać. Czas oczekiwania ciągnął mu się w nieskończoność. Wszyscy pasażerowie samolotu do Paryża zostali już odprawieni i przeszli przez bramkę z napisem granica państwa. Po dłuższej chwili wyszedł kapitan z paszportem w ręku. Podszedł do poety. W tym momencie przed barierką, od strony hali odlotów, pojawili się dwaj zziązani ubecy z Citroëna. Chcieli przejść przez bramkę, lecz wopiści powstrzymali ich. Kapitan WOP podszedł do starszego stopniem żołnierza i szepnął mu, aby pod żadnym pozorem nie wpuszczał tajniaków, po czym wrócił do stojącego za ścianką działową Miłosza (którego funkcjonariusze UB nie widzieli). Rozgorączkowni ubecy nerwowo tłumaczyli coś żołnierzom, którzy nie reagowali na ich słowa, ani na pokazywane służbowe legitymacje.

- Moja żona uczy w liceum polskiego i zna pana poezję – powiedział kapitan do Miłosza.

- Co to za krzyki? – Poeta zaniepokoił się dochodzącymi odgłosami, gdy usłyszał swoje nazwisko wypowiedziane przez jednego z ubeków.

- Proszę bez nerwów, osoby niepowołane nie wejdą tu – powiedział flegmatycznie.

- Przepraszam, mówił pan coś o poezji – zreflektował się.

- Żona ceni pana wiersze. Była na poranku poetyckim w Teatrze Narodowym i mówiła mi, że był pan najlepszy. Przed chwilą rozmawiałem z nią telefonicznie.

- Cóż za szczęśliwy przypadek... – Miłosz ucieszył się, że ma do czynienia z oficerem kojarzącym jego nazwisko; jednak wciąż był niespokojny podniesionymi głosami ubeków.

- Niech pan się nie przejmuj tymi tam... – wskazał wzrokiem za parawan. – Wpuszczę ich, jak pan odleci – oficer nie wykazywał oznak zdenerwowania.

- Chociaż mam paszport dyplomatyczny, nie chciałbym mieć do czynienia z ludźmi, którzy raczej słabo znają się na poezji – Miłosz zmusił się do uśmiechu.

- I nie potrafią docenić prawdziwych talentów, które rodzą się w kraju. Przepraszam, czy mógłbym prosić o autograf dla żony – kapitan wziął leżący na stoliku służbowy zeszyt z przesnurowanymi kartkami i pieczęcią z laku, odcisniętą na ostatniej stronie zeszytu, łączącą dwa końce sznurka. Otworzył go pośrodku. Poecie podał kopiowy ołówek – żona ma na imię Zofia – dodał. – Zofia Downar – uzupełnił.

- Nie będzie miał pan kłopotów? – Miłosz spojrział na służbowy zeszyt, po czym wziął ołówek i przyłożył go do wskazanej przez oficera strony, lecz grafit nie pozostawił śladu.

- Proszę naślinić rysik. A co do kłopotów... to po powrocie z Anglii już mnie magłowali. Właśnie tacy – wskazał kciukiem w stronę barierki. – Nic na mnie nie mają, ale i tak złośliwie obniżyli mi stopień.

Miłosz ucieszył się, że ma do czynienia z oficerem, który walczył na Zachodzie. Z satysfakcją pisał długą dedykację dla żony i oficera.

- Przepraszam, jak panu na imię? – przerwał pisanie.

- Tadeusz.

Po złożeniu autografu poeta uściśną mocno dłoń oficerowi.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję – kapitan wskazał dłonią na dedykację, przeczytał ją z ukontentowaniem, po czym wyrwał kartkę z zeszytu i schował ją do wewnętrznej kieszeni munduru. – Żona będzie wniebowzięta. Proszę już iść, bo widzę przez okno, że autobus czeka tylko na pana.

- Niech pan się trzyma, panie majorze – pożegnał go Miłosz i szybkim krokiem poszedł do autobusu dowożącego pasażerów do samolotu Douglas DC-3. Po kilku minutach samolot z kompletem pasażerów rozpoczął kołowanie w kierunku pasa startowego, a po otrzymaniu zgody z wieży kontrolnej, wystartował wzbijając się w powietrze.

Kapitan Downar widząc odlot DC-3 dał znak kapralowi stojącemu przy bramce, aby wpuścił do środka dwóch rozgorączkowanych ubeków, do których w ostatniej chwili dobiegł spocony agent Skiba.

W Paryżu Miłosz zameldował się w domu przy ulicy Dumont d'Urville, gdzie mieszkali pracownicy polskiej ambasady. Gdy tylko przekroczył próg swojego pokoju, rzucił się na łóżko. Poczuł nagle, że opuściły go wszystkie siły. W ostatnich dniach żył w napięciu. Gdy wreszcie los uśmiechnął się do niego i szczęśliwie znalazł się na Zachodzie, napięcie to gwałtownie z niego uszło. Opanowała go niemoc, a jego stan psychiczny można było określić dwoma słowami: głęboka depresja. Wycieńczenie duchowe przełożyło się na osłabienie ciała. Codziennie myślał o samobójstwie. Przez prawie dwa tygodnie nie był w stanie uczęszczać do pracy w ambasadzie. Opanował go także strach, że ktoś może mu zrobić krzywdę. Bał się również o żonę, która informowała go o komplikacjach związanych z ciążą. Po cesarskim cięciu, 22 stycznia, szczęśliwie przyszedł na świat syn. Stan Janki był jednak na tyle zły, że znajomi przysyłali mu telegramy, aby natychmiast przyleciał do Stanów, jeśli chce jeszcze zastać żywą żonę. Owe fatalne wieści zmobilizowały go do przełamania fizycznej niemocy. Postanowił jak najszybciej do niej przylecieć, zresztą zgodnie z obietnicą daną mu w grudniu w MSZ-ecie. Z trudem zebrał się w sobie i pojechał do ambasady prosząc Przemysława



Ogrodzińskiego o krótki wyjazd do Waszyngtonu w celu zobaczenia, być może po raz ostatni, żony. Ambasador po konsultacji z Warszawą, otrzymał odmowną odpowiedź.

Była to dla Miłosza przysłowiowa kropla przelewająca czarę goryczy. Nazajutrz umówił się z Nelą Micińską w knajpce bałkańskiej, którą w tym czasie odwiedzał. Opowiedział jej o ostatnich zdarzeniach i związanych z nimi przeżyciach. Był już zdecydowany nie wracać do ambasady. W rzeczowym dialogu przyjaciółka utwierdziła go w decyzji zerwania z reżimem. Oboje poszli na pocztę zadzwonić do Jerzego Giedroycia, który po wysłuchaniu dramatycznej relacji poety, bez chwili wahania zgodził się udzielić mu schronienia w redakcji „Kultury” przy avenue Corneille w Maisons-Laffitte. Jeszcze tego dnia Miłosz spakował się. Pierwszego lutego, wcześniej rano, gdy wszyscy spali, z wyjątkiem portiera, zszedł z walizkami do taksówki, którą pojechał do oddalonej o kilkanaście kilometrów siedziby „Kultury”. Portier widząc go wychodzącego z ciężkimi walizkami, pobiegł natychmiast do jego pokoju. Widok pustego pomieszczenia utwierdził go w przekonaniu, że sekretarz do spraw kulturalnych opuścił dom pracowników ambasady na stałe. Gdy tylko wybiła godzina ósma, portier zadzwonił do swojego kierownika w ambasadzie informując o zaistniałym zdarzeniu. Kierownik administracyjny natychmiast pobiegł do Ogrodzińskiego relacjonując mu wyjazd Miłosza z domu przy ulicy Dumont d’Urville. Przemysław Ogrodziński jeszcze przed południem wysłał zaszyfowaną wiadomość do Stefana Wierbłowskiego w MSZ-ecie, że Czesław Miłosz opuścił chyłkiem służbowe mieszkanie ze wszystkimi osobistymi rzeczami i wyjechał w niewiadomym kierunku, najprawdopodobniej zdezerterował.

Gdy wieść o wybraniu przez Miłosza wolności dotarła do Jerzego Putramenta, ten nie krył satysfakcji. Przez rządowy telefon umówił się na spotkanie z Bermanem, który nazajutrz przyjął go w swoim gabinecie.

- A więc nawiał. Stało się tak, jak towarzysz przewidział – Putrament w pierwszych słowach podlizzał się członkowi politbiura.

- Niedawno byliście innego zdania – stwierdził oschle.

- Przyznaję to z pokorą – pokajał się sekretarz ZLP – ale tylko tego dnia, gdy po poranku literackim przez chwilę uwierzyłem, że poeta nie może istnieć poza własnym krajem i ojczystym językiem. Generalnie jednak czułem od początku, że jest niepewny politycznie i trzeba go mieć przy sobie na krótkiej smyczy. Pamiętacie, towarzyszu, że pomysł ściągnięcia go z Ameryki był mój.

- Trochę żał mi towarzysza Modzelewskiego – stwierdził beznamytnie Berman nie odnosząc się do przechwałki Putramenta.

- Zapewnił prezydenta Bieruta słowem honoru, że za niego ręczy – zmyślił historyjkę o słowie honoru.

- Czy słowem honoru, nie wiem, ale z pewnością nadużył jego zaufania.

- Modzelewski, jako szczerzy komunista, zbyt łatwowiernie zaufał Miłoszowi. Najpierw jednak został nakręcony przez żonę. A ta z kolei została nakręcona przez poetę i mu uwierzyła. On zaś złamał słowo honoru, którym związał go Modzelewski – powtórzył swoją bajeczkę akcentując ostatnie zdanie.

- Potrójnie złamał słowo; wobec Modzelewskiego, Kruczkowskiego i Hoffmana. Tych dwóch ostatnich osobiście prosiłem, aby zobowiązali go do powrotu i uzyskali jego zapewnienie – rzekł zły Berman.

- Będą krążyły plotki na temat jego sensacyjnej dezercji – Putrament z satysfakcją zatarł ręce.

- Kawiarnie i ulice rządzą się swoimi prawami. Taka jest człowiecza natura, na którą nie da się nałożyć kagańca – rzekł filozoficznie Berman.

- Ale sekcja „D” w ministerstwie może wpłynąć przez ploteczki na kształtowanie politycznej świadomości ludu.

- Specjaliści z tej sekcji z pewnością będą mieli jakieś ciekawe propozycje. Nie znając jeszcze wszystkich szczegółów, wstępnie mam pomysł, aby na bazie tego przykrego wydarzenia propaganda szeptana rozwinęła się w kierunku ukazania zbyt łatwości niektórych towarzyszy, ku przestrodze innych. Ponieważ szkody wynikające z dezercji są dla państwa i partii niepowetowane.

- Jako pisarz jestem przekonany, że plotki rozwiną się bardziej w kierunku spraw łóżkowych – uśmiechnął się srośnie Putrament.

- Wam tylko jedno w głowie. Czy nie zrozumieliście jeszcze, że między innymi za to dostaliście po dupie?

- Przepraszam – rzekł zgaszony. – Jeśli można, towarzyszu – chciał naprawić wywołane przez siebie złe wrażenie – myślę, że w całym tym galimatiasie dotyczącym jego dezercji istotne jest, poza tym co słusznie powiedzieliście, aby sekcja „D” rozważyła taką oto kwestię; że poeta wykazał się głupotą, ponieważ mając w perspektywie osiągnięcie wysokiego stanowiska w MSZ-ecie, niezłe pieniądze za wysokie nakłady swoich książek oraz zapewnione uznanie wśród krajowych czytelników, zrezygnował z tego wszystkiego idąc na lep bliżej nieokreślonych kapitalistycznych obietnic i zgniłej burżuazyjnej wolności.

- No, no... – pokiwał potakująco głową. – Czasem myślicie właściwą częścią ciała, towarzyszu – uśmiechnął się sarkastycznie.

- Co teraz z jego twórczością, z tomikami wierszy? – zaniepokoił się pisarz.

- On już skazał siebie na całkowite zapomnienie. Od jutra zacznie obowiązywać na jego nazwisko i twórczość cenzorski zapis. Ze wszystkich bibliotek i księgarń wycofamy jego książki. Zresztą nie ma ich tak dużo.

- Trzy tomiki.

- Po jakimś czasie ludzie zapomną o nim – powiedział Berman.

- Skreślimy go też ze związku literatów, żeby nie było po nim śladu – rzekł gorliwie Putrament. – Łącznie z wypowiedziami jego i na jego temat, które znajdują się w protokołach zebrań i posiedzeń zarządu ZLP.

- Skreślenia pozostawiają ślady – zaniepokoił się członek politbiura.

- Protokoły napiszemy na nowo – zapewnił Putrament.

Franciszek Czekierda